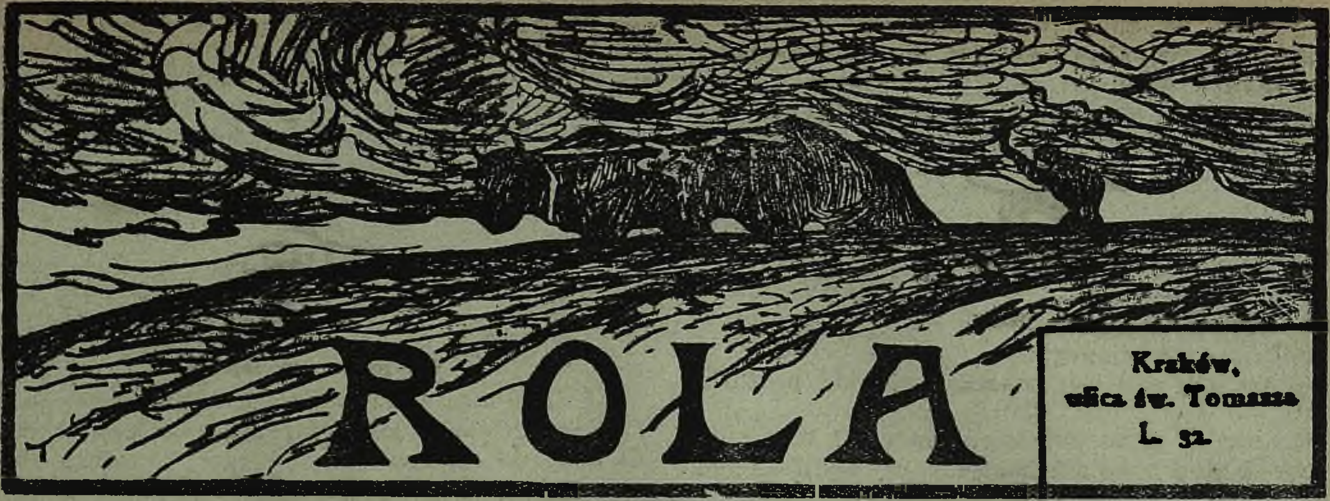
Numer 47. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 23 Listopada 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Okładki na „Rolę" na r. 1931 są gotowe po nadesłaniu 2·20 zł. wysyłamy. Są też okładki 1927, 1928 i 29.

Na wystawie psów.

— Co za wspaniały okaz chińskiego pinczera — wygląda, jak poduszka z włosów, nie wiadomo, gdzie głowa a gdzie ogon.

— Podrażnij go, a którą stroną cię ugryzie, tam właśnie jest głowa.



Na ulicy.

Policjant do pijanego:

— Nie stój pan pod latarnią, ale idź prosto do domu.

Pijany: — A no, macie tu mądrala! Wypij pan szesnaście siup piwa a zobaczymy, czy będziesz mógł prosto chodzić.



Mucha.

W Tarnowie w restauracji siedzi jakiś pan i pije piwo. Nagle zauważył, że w piwie pływa mucha. — Ostrożnie pije dalej, a dopiero, gdy zostało już niewiele w szklance woła „oburzony" kelnera, wyjmuje przy nim muchę i żąda, by mu dano nowe piwo.

Kelner wraca wkrótce i przepraszając podaje nową pełną szklankę piwa.

Przy sąsiednim stoliku siedzi inny pan z żoną, oboje nad jednem piwem. Kiedy kelner się oddalił, mówi drugi pan do swego sąsiada półgłosem:

„Czy mógłbym poprosić pana o tę muchę?"

Plotka.

Matka (do córki): Wasze pożycie małżeńskie zdaje się nie być najszczęśliwszem. Sąsiedzi powiadają, że w tym tygodniu słyszeli, jak kłóciłaś się z mężem!

Córka: To nikczemna plotka, bo ja z moim mężem nie rozmawiałam już od trzech tygodni.



Co jeden, to lepszy...

— Mój mąż — mówi jedna do drugiej — to taki rzetelny, że jak mu się przyśni, że co wziął cudzego, to idzie do spowiedzi.

— A mojemu — odpowiada druga — jak się zdarzy przypadkiem, że mu co wpadnie w ręce, to myśli, że mu się śniło.

Mała dyplomata.

— Mamusiu, czy uszy należą do twarzy, czy do szyji?

— Dlaczego się pytasz o to?

— Powiedziałaś Niańce, żeby mi umyła szyję, a ona chce myć także i uszy.

To co innego.

— Nie wstyd cię przyjść do szkoły w takim brudnym kołnierzyku?

— To nie kołnierzyk, panie psorze, to szyja.

Numer 47. Rok XIV. Kraków, dnia 22 Listopada 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Fałszywe sądy.

Człowiek, spostrzegając, zastanawiając się nad sobą, nad swem otoczeniem, wyrabia sobie własne zapatrywanie o kimś, lub o jakiemś zdarzeniu. Sądy ludzkie mogą być prawdziwe lub błędne, fałszywe. Te ostatnie przynoszą wiele i nieobliczalnych szkód, tak wydającemu je, bezkrytycznie rozszerzającemu, jak i otoczeniu, sądzonym. Fałszywy sąd może się objawiać w myślach, słowach, piśmie i w czynach, może odnosić się do samego człowieka, wydającego sąd, lub też do innych ludzi, do rządu, państwa.

Fałszywe sądy są najczęściej dziećmi pychy, nienawiści, zazdrości. One to tak często niszczą podwaliny zgodnego współżycia towarzyskiego, pokój i zaufanie w rodzinach, wzajemną miłość. One to prowadzą swych wyznawców do sądów karnych, do więzień, a powoli nawet do zbrodni.

Pycha i nienawiść zaślepia człowieka, nie dozwala mu dojrzeć krzywdy wyrządzanej innym, zamyka jego oczy na cnoty bliźniego, a na jego wady.

Człowiek pyszny, we własnem przekonaniu, ma się za coś lepszego od innych i stosownie do swoich zapatrywań wydaje sądy. I tak n. p. rząd źle gospodarzy, gdyby on miał taką władzę, wszystko lepiejby urządził. Onby potrafił kierować bodaj państwem całem, całą polityką zewnętrzną, może nawet i armją, bo tak się mu dobrze o tem mówi.

Człowiek taki krytykuje zawsze i wszędzie, wszystko i wszystkich, no i oczywiście narzeka, że go los na taki szary koniec zepchnął. Wprawdzie zapomni on, że trzeba było obuwie dać do naprawy, by mu palce nie wyłaziły, zapomni może ubranie oczyścić, mądrą głowę dać sobie ostrzyc, zapomni może lub poprostu nie potrafi urządzić należycie swego malutkiego nawet gospodarstwa. Z własną żoną, czy dziećmi nie potrafi rozumnie współżyć, pracować, lecz pychą kierowany porwałby się na wielkie zadania. A już bodaj posłem do sejmu to należałoby mu zostać.

A czy jego zacna małżonka ma pozostać w tyle, okazać mniej domyślności, rozumu? Bynajmniej! Ona również oszukać się nie da, przewidzi wiele rzeczy, o których nikomu nawet się nie śniło. Np. młodzi ludzie mają wstąpić w związek małżeński.

— Eh, oni ze sobą już dłuższy czas się znali i gdzieś tam razem jeździli, to tam nie było bez tego... mówi do swej znajomej, ta zaś dalej ogłasza ten sąd fałszywy, jako fakt pewny.

A syn ich, czy córeczka opowiada znajomym; no, on wiele we świecie przebywał, na wojnie był, to się nie obeszło bez tego, by nie upadał moralnie, mógłbym coś jeszcze więcej o tem powiedzieć, lecz dajmy temu spokój, i robi minę tajemniczą, naprawdę zaś swój sąd fałszywy, jak się to mówi, z palca wyssał, podszepnęła mu nienawiść szatańska do danej osoby. Często i mnóstwo podobnych sądów fałszywych możemy słyszeć.

Do tych sądzących odnosi się rozkaz przedwiecznej i najwyższej Miłości i Mądrości: Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. A Mickiewicz woła do nich: Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie! Sąd nasz, prócz Boga, nie damy nikomu! Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie. Ja płynę dalej, wy idźcie do domu!

Sąd nad człowiekiem jest tak trudny, że należy go Stwórcy pozostawić, a samemu iść do domu, do pracy, bo czas, bo życie mija bezpowrotnie. Sądy fałszywe wobec innych, to podłe okradanie ich ze czci, to krzywda, której już się wynagrodzić nikt nie może podjąć. Nie dajmy nad sobą królować pysze, nienawiści, jak ciężkiej choroby, unikajmy sądów fałszywych.

Jan Pelczar.



Nad klasztorem OO. Karmelitów na Białej Górze wisiały ołowiane chmury. Ciemny ich kolor przybierał na mocy, bo słońce przed kwadransem zaszło, a po okolicy plątał się jedynie, przytłoczony nimi, słaby odblask zamarłego dnia. Toczyły się one od zachodu, zasunęły niebo właśnie nad klasztorem i szły dalej groźne, leniwe.

Otoczony zewsząd sinymi lasami, uwieszony niemal pod niebem, na samym szczycie dosyć wysokiej i obszernej góry, klasztor bielił się swemi budowlami i murami, rozmieszczanymi po obszernej polanie. Zmierzch zacierał wiele szczegółów — samo jednak ugrupowanie budynków dawało do myślenia, że został przerobiony z średniowiecznego zamku. Mury i dosyć liczne, niezburzone dotąd baszty świadczyły, że miał on niegdyś charakter obronny.

Chwilę panowała cisza. Kiedy zaś na samym krańcu zajaśniała pierwsza słaba błyskawica — zawiał i wicher. Przeleciał nad górą, wstrząsnął drzewami i zamilkł. Błyskawice odtąd ciągle się powtarzały, a za nimi i podmuchy. Odezwał się wkońcu grzmot w dali, stłumiony. W tym samym momencie dobiegł dźwięk sygnaturki z wieży kościelnej. Głos jej cichł — to rósł — zależnie od kierunku i siły wiatru. Dzwoniono najwidoczniej na „Anioł Pański", gdyż po jej zamilknięciu — powtórzyła się melodja drugiego, o niższym tonie — a po nim jeszcze trzeciego dzwonu.

Ale i przyroda nie próżnowała. Niebo jaśniało coraz silniejszemi błyskawicami, a dźwięczny ton dzwonu tłumiły potężne grzmoty i dziki szum wichru. Gdy głos dzwonu poraz trzeci chciał iść w zawody z muzyką przyrody — na tle czarnych chmur uwydatnił się przeraźliwie jaskrawy sznur ognia — złączył się z wysoką wieżą, a powietrze rozdarł okrutny huk. Piorun uderzył w klasztor i po gromochronie zsunął się do ziemi. Dzwon momentalnie zamilkł — wszystkie budynki przez chwilę oblane silnem światłem — dobitnie się zarysowały. Równocześnie lunął obfity deszcz; szeleścił rozgłośnie po okolicznych lasach, pluszczył po dachach klasztoru. Zapanowała zupełna ciemność — błyskawice i grzmoty zamilkły, jak na komendę. Niebiosa dokonały widocznie tego, co zamierzały — bo za chwilę i deszcz przestał padać, a nad świątynią Pańską zajaśniał błękit — jaśniejszy od strony zachodu — popstrzony gwiazdami.

Wiał jedynie ciepły, leciutki, majowy wiatr.

Ponad lasami popłynął znowu dźwięczny i wyraźny głos; najpierw o wyższym tonie, urywany, powtórzył się czterokrotnie — potem niższym aż osiem razy. To zegar klasztorny obwieszczał ilość godzin.

W prawem skrzydle, na pierwszem piętrze świątyni, — zajaśniały światła w sześciu oknach, a po niedługiej chwili dały się słyszeć organy i monotonny rozwlekły gregorjański śpiew zakonników.

W obszernej kaplicy, przeznaczonej jedynie do użytku mieszkańców klasztoru, zgromadzili się wszyscy zdrowi na wspólne modły wieczorne. Na posadzce klęczało ponad 150 kleryków, ubranych w zakonne, koloru tabaki, szaty — z 1 aż do 8 roku studjów — tyleż samo młodocianych chłopaczków między 10 a 15 rokiem życia, odzianych w granatowe mundurki. Byli to wychowankowie Collegium sposobiący się na przyszłych kleryków. W ławkach, rozmieszczonych pod bocznemi ścianami, siedziało około 30 ojców. Wśród nich znajdowali się profesorzy Collegium, profesorzy teologji i właściwi ojcowie. Czyściutka kaplica, oświetlona rzęsistem światłem elektrycznem podnosiła nastrój pobożny. Ładnie dobrane ciemne kolory ławek, ścian i ołtarza harmonizowały ze strojem zebranych. Kaplica nie była zbytnio wysoką i ołtarz dostosowany do niej, rozpościerał się raczej wszerz niż wzwyż. Miał charakter skrzynkowego, o dwóch roztwieranych skrzydłach. Umieszczono w nim trzy obrazy świętych, szeregujących się z tego zakonu; św. Teresy, reformatorki zakonu w środku — z jednego boku błog. Jana od Krzyża i św. Teresy z Lisieux z drugiego. Niewielkie, o smętnych dźwiękach organy, mieściły się w samym tyle na niezbyt wysokiem wzniesieniu. Całość mimo idealnej czystości, a nawet piękna dawała obraz smutnej gnuśności. Przed ołtarzem odziany w zielony ornat, celebrował jeden z ojców, a zgromadzeni przy akompanjamencie organów odpowiadali chóralnie przytłumionym głosem. Przysłuchujący się nabożeństwu odniósłby wrażenie, jakoby wszyscy znajdowali się w przygnębionym stanie. — Rozwiewało się jednak po rzuceniu spojrzeniem na twarze oddane modlitwie. Jaśniały one po największej części jak słońce o wschodzie lub zachodzie. Dobrobyt rysował na obliczach swe znamiona. Pełne, rumiane twarze, zdawały się być najzupełniej zadowolone z egzystencji klasztornej. Z twarzy kleryków odczytać można było długość studjów. W miarę bowiem minionych lat widziało się pełniejsze twarze. Z ostatniego roku, pod względem tuszy, nie wiele różnili się od samych dostojnych ojców zakonu. — Wychowankowie Collegium zachowali jedynie szczupłość dziecinną. Skądże zatem ów dziwny nastrój — skoro oblicza jaśniały zadowoleniem?

Łatwe wyjaśnienie: Nie przyzwyczajeni do walki z twardem życiem, bojaźliwi, niewolnicy czterech ścian, w tonie głosu okazywali swoje usposobienie.

Modlitwa trwała pół godziny. Po odśpiewaniu ostatniej zwrotki pieśni — zebrani skierowali się bezszelestnie do wyjścia. Wstrzymał ich jednak głos ojca celebranta, którym jak się okazało był sam przeor.

— Moje słowa — wytłumaczył, kiedy przystanęli — odnoszą się do kleryków z ostatniego roku studjów. Proszę ich, by po opuszczeniu kaplicy, udali się jeszcze do sali wykładowej. Po zdjęciu ornatu zaraz przyjdę.

Zdziwienie, malujące się na kilkunastu twarzach, zdradziło tych, do których wezwanie się odnosiło.

Korytarz łączący się z kaplicą zabrzmiał stukami uderzanych o nie sandałów. Stuki rozdrabniały

i rozdzielały się na różne strony w górę, w dół a wreszcie zamilkły. Okna cel zajaśniały na nowo światłami.

W sali wykładowej zebrało się 19 młodzieńców. Już korytarzami dążąc, zadawali sobie pytania, w jakim celu zostali wezwani. Zniecierpliwieni potworzyli grupki i ustawicznie robili dalsze przypuszczenia na ten sam temat. Sala, w której się znaleźli, robiła wrażenie najzwyczajniejszej izby szkolnej, miast jednak ławek widziało się stoły z dwoma stołkami przy każdym. Lecz i one nacechowane były piętnem klasztornem. Wielki krzyż, wiszący nad katedrą, i cała komnata zionęły tym samym smętkiem co i kaplica. Oczy wszystkich ustawicznie zwracały się do drzwi wejściowych, któremi spodziewano się przybycia ojca przeora. Nareszcie otwarły się, wpuszczając oczekiwanego. W jednej chwili zamilkł gwar toczonej rozmowy. Wysokiego wzrostu, tłusty i rumiany energicznym krokiem podążył do katedry. Bystrem spojrzeniem ogarnął zebranych. Zobaczywszy oczy płonące zaciekawieniem, uśmiechnął się zlekka i wyrzekł pierwsze słowa.

— Proszę zająć swoje miejsca. Będzie to bowiem swojego rodzaju wykład i zajmie dłuższą chwilę.

Powstał rumor, który po chwili umilkł. Klerycy, wsparci na rękach, wpatrzyli się w niego, oczekując dalszych słów.

Zaczął od dziwnego wstępu.

— Kochani chłopcy. Poraz ostatni zwracam się do was świeckiem wezwaniem. Wiadomo wam, iż niedługo otrzymacie święcenia kapłańskie, a potem musicie wyrzec się swoich dotychczasowych imion i nazwisk i każdy z was stanie się ojcem, otrzymując imię zakonne. Wiem, że wielu z was z niecierpliwością oczekuje tej radosnej chwili, — przedtem jednak czeka was jeszcze jedna ciężka — bardzo ciężka próba. Już sama przyroda obwieściła niejako, że dzisiaj ważny moment ma się rozegrać w naszym klasztorze. Czy dacie wiarę, iż niemal każdego roku przed tą decydującą chwilą uderza piorun w naszą wieżę? Zresztą przebywając ośm lat w klasztorze, przypominacie sobie, mając na uwadze poprzednie wydarzenia, że tak mniej więcej było.

W tej chwili jego spojrzenie padło na przystojnego i najstarszego kleryka. Mina, zdradzająca niedowierzanie, zmusiła go do dodania wyjaśnienia.

— Zjawisko to wprawdzie da się sceptykowi łatwo wytłumaczyć; powie, że przeciągająca nad klasztorem burza — zawsze w wieży zdajduje najwyższy punkt, w który powinienn uderzyć piorun. Nikt jednak nie jest w stanie tego objaśnić, dlaczego ono występuje, kiedy przeor poweźmie zamiar obwieszczenia klerykom próby, przez jaką przed wyświęceniem muszą przejść. Już od rana bowiem nosiłem się z tą myślą. Powiem wam jeszcze więcej; grom z niebios wielką odegrał rolę w życiu naszego klasztoru. A cały wypadek, który wam opowiem, miał również miejsce w tym miesiącu. Stąd też niemal co rok Bóg piorunem, na przestrogę następcom, przypomina minione nieszczęście.

— Słuchajcie jednak — ciągnął, obserwując ustawicznie słuchaczy, zadowolony, że udało mu się wywrzeć potrzebne wrażenie. Ale czoło jego znowu spochmurniało. Stało się to, gdy oczy spoczęły na tym samym kleryku, który poprzednio zmusił go do uzupełnienia uwagi.

— On zawsze drażni mię swojem zachowaniem się — przyszło mu na myśl. — I ten młodzieniec ma być stworzony do klasztornego życia? — wątpił. Widział bowiem najobojętniejszą minę — oczy wpatrzone w ciemne okno.

— Za 21 dni — mówił dalej — ma przyjechać generał naszego zakonu i dokonać święceń. Tyle zaś dni potrzeba, byście wszyscy przeszli przez ogniową próbę. Na czem ona ma polegać, zaraz wam wyłożę. Znacie w naszym klasztorze, na parterze, we wschodniej stronie na samym końcu korytarza, celę zawsze zamkniętą, na której drzwiach umieszczony jest duży czarny krzyż, odwrócony bocznemi ramionami wdół? W niej to każdy z was musi przebyć jedną noc. Widzę, uśmiechacie się, mówiąc do siebie: i to ma być owa, ciężka, z takim wielkim wstępem zapowiedziana próba? Każdy z nas przecież żyje i śpi w osobnej celi. Wstrzymajcie się jednak z osądem, a posłuchajcie historji, która z nią, tą samotną celą, jest związana. Zastrzegam sobie, byście to, co zostanie wam obwieszczone, zachowali w najgłębszej tajemnicy. Pod żadnym warunkiem nie wolno wam jej powtarzać innym klerykom. I oni na czas się jej dowiedzą. Macie zresztą najlepszy przykład: żaden z ojców przed czasem wam jej nie zdradził, chociaż każdy z nas, który tę samą próbę przeszedł, zna ją dobrze. Zastosujcie się i wy do tego zwyczaju. Wierzę mocno, że słowa moje znajdą u was posłuch.

— Wiadomo wam zapewne, moi drodzy, iż zakon nasz w niezbyt odległych czasach rozszerzył się na polską ziemię, i że pierwszą siedzibą stał się klasztor, w którym przebywamy obecnie. Pierwsi ojcowie przybyli tu z Francji, skłonieni do tej decyzji bogatym legatem hrabiny Białogórskiej. Umierając przed 70 laty w panieństwie, zapisała znaczne posiadłości ziemskie naszemu zakonowi pod warunkiem, że osiedlą się na polskiej ziemi, będą przyjmować Polaków do Karmelu, zamek przerobią na klasztor i tu będą kształcić przyszłych zakonników. Naturalnie francuscy ojcowie skorzystali z tej ponętnej propozycji — przysłali pierwszych ojców dla objęcia dziedzictwa i zakrzątnęli się koło budowy klasztoru. Niedługo dobudowali kaplicę, przerobili komnaty zamkowe na cele, a następnie osiadło tu kilkudziesięciu zakonników. Między przybyłymi znajdował się niejaki O. Michał de Berthould, Francuz z pochodzenia, słynący z niezwykłej pobożności. Szczupły, co rzadko zdarza się między nami, należał do szlachetnie urodzonych. Jedyną skazę znajdywano w tem, iż matka jego była przechrzcianką z wyznania mojżeszowego. Z oblicza jego jaśniała czystość myśli, niemal świętość. Zawsze pogodny, i innym udzielał spokoju ducha. Nikt nie śmiał się przy nim smucić, każdemu zdołał usunąć troskę z czoła mądrą perswazją i pociechą. Niepowszednio wykształcony, gdyż przed wstąpieniem do zakonu był doktorem medycyny, okazywał pokorę i unikał godności zakonnych.

Nic dziwnego też, że pozyskał serca wszystkich i stał się opatrznością nietylko klasztoru, ale i okolicznej ludności, której z chęcią bezpłatnie udzielał pomocy lekarskiej. Chociaż nasza reguła ogranicza opuszczanie klasztoru — dla niego musiał być wyjątek, bo nieraz to wyjeżdżał lub wychodził do ciężko chorych.

Pewnego letniego dnia powrócił z takiej wycieczki niezwykle podniecony. Ojca przeora, do którego zaraz podążył, z miejsca uderzyła jego wewnętrzna przemiana. Oczy jaśniały mu jakimś nieokreślonym złośliwym blaskiem — szyję miał zczerniałą ze śladami duszenia. Zaraz też wyjaśnił przyczynę swego zachowania i opowiedział przyczynę, która je spo-

wodowała. Według niego rzecz przedstawiała się następująco: Powracając piechotą ze wsi, zmęczony bardzo, usnął w trawie pod murami klasztoru. Po niedługiej chwili odniósł wrażenie, jakoby go ktoś dusił. Ocknąwszy się z trudem, spostrzegł koło siebie leżącego nieznajomego pana. Nie znalazł na nim najmniejszego śladu gwałtu, ni rany, a jednak człowiek ten, co skonstatował ze zgrozą — był martwy. Podążono natychmiast na miejsce i przekonano się, że zeznał prawdę. Zmarłego przeniesiono do klasztoru, a sprowadzone władze i obcy lekarze zaświadczyli zgodnie, że chociaż wypadek ten na nikogo nie rzuca podejrzenia, to jednak musiał się odbyć w tajemniczych warunkach. Nie umiano bowiem znaleźć choroby, która spowodowała zgon. Sekcja zwłok wykazała, że miano do czynienia z najzdrowszem ciałem, które jedynie dusza opuściła w niewytłumaczony sposób. Najważniejszem następstwem całego wydarzenia było, że O. Michał zmienił się nie do poznania. Zaniechał dawnych dobroczynnych wycieczek, a nawet wrazie choroby jakiegoś zakonnika, odmawiał pomocy lekarskiej. Unikał innych ojców i najczęściej przebywał w swej celi. Stał się podejrzliwy, skryty a wkońcu i występny. Bo oto, do ojca przeora po upływie niespełna roku zgłosił się brat Józef Barcik, który najczęściej służył mu do Mszy św. i złożył wprost niewiarygodne zeznanie. Zaobserwował, jak mówił od szeregu miesięcy, że O. Michał nie spożywał w czasie Komunji świętej — Hostji, lecz symulując tę czynność, wsuwał Ją do rękawa. Zaintrygowany tem, nie zdradził się, iż posiadł tajemnicę, ale w dalszym ciągu śledził go. Przez dziurkę od kulcza podpatrzył, że O. Michał w swej celi, zabraną świętą Hostję kładł na stole i kłuł dwiema szpilkami. Za każdym razem miał sposobność być świadkiem wielkiego cudu — tak kaleczone Ciało Boże spływało obficie krwią — a O. Michał dokonywał nad niem niewytłumaczoncyh praktyk prze mruczenie zaklęć przy gestykulacji ciała i rąk. Z oczu jego sypały się szatańskie iskry, aż strach go przenikał i zmuszał do ucieczki. Od szeregu miesięcy nosił tę tajemnicę, aż wyrzuty sumienia nakazały mu ją wyjawić wreszcie. O. przeor nie chciał początkowo dać wiary, ale potem musiał, skoro brat Józef zaprzysiągł uroczyście, iż nie kłamie. Przerażony okropnem bluźnierstwem postąpił nierozważnie. Podążył do celi O. Michała, z miejsca wyrzucił mu jego zbrodnię i oświadczył, że oddaje go do dyspozycji sądów kościelnych. Do czasu zaś nadejścia dalszych zarządzeń uważa go za więźnia i zabrania odprawiania Mszy świętej. Ponieważ wypierał się winy, skonfrontowano go z bratem Józefem, który w oczy powtórzył mu straszne oskarżenie. Mimo to trwał w uporze, zaprzeczając kategorycznie swej winy.

(Dokończenie nastąpi).

Kruk i lis.

Może najprzebieglejszem zwierzęciem na świecie jest lis. Znają go dobrze myśliwi i wiedzą, jak trudno go upolować. Na wolnej przestrzeni, czy w lesie potrafi on tak zmylić uwagę myśliwego, że prawie zawsze wychodzi cało z opresji. Najłatwiej jeszcze wykurzyć go z jamy zapomocą dymu lub wyszczuć psami jamnikami. Toteż do wielu bajeczek dla dzieci i niedzieci, jako bohatera, używali bajkopisarze lisa.

Znaną jest dobrze bajeczka, opowiadająca, jak to razu pewnego wpadł lis do dołu z wodą i w żaden sposób z niego nie mógł się wydostać. Na swoje szczęście po jakimś czasie zobaczył nad dołem kozła. Udał tedy, że z ogromnym smakiem pije wodę, znajdującą się na dnie dołu, a na zapytanie kozła, co tak smacznie popija, zachęcił go, aby i on skosztował znakomitej wody. Kozieł, nie przeczuwając podstępu, wskoczył do dołu, a wówczas lis po jego grzbiecie wydostał się z niebezpiecznego położenia.

Albo bajeczka druga. Na gałęzi drzewa siedział kruk, trzymający w dziobie potężny kawał sera. Nadszedł wówczas lis i zobaczył przysmak w cudzem posiadaniu. Ślinka wyszła mu na język; takby chętnie pokosztował rzadko spotykanego specjału. Jakiś głupiec byłby może prosił kruka o użyczenie mu odrobiny sera. Ale nie ulega wątpliwości, iż byłby odszedł z kwitkiem. Lis postąpił inaczej. Wiedząc, że nietylko ludzie, ale i niektóre zwierzęta chorują na próżność, próżność tę postanowił wykorzystać dla siebie. Podniósł więc łeb ku górze i począł wychwalać kruka. Wynosił pod niebiosy jego rzekome zalety, a najbardziej chwalił przepiękny głos kruka. A gdy dostatecznie pobudził próżność kruka, począł go prosić, aby mu ten coś zaśpiewał. Kruk dał się uprosić, ale kiedy otworzył dziób do śpiewu, wypuścił zeń ser, który upadł na ziemię. Na to tylko czekał lis; porwał ser i ze śmiechem opuścił próżnego kruka.

Ale to nietylko pomiędzy zwierzętami zdarzają się takie wypadki, bo i ludzie ludziom przez próżność do wielu rzeczy dają się nakłonić.



Na obrazku naszym widzimy właśnie ową scenę pomiędzy chytrym lisem, a próżnym krukiem.

Wśród jezior i bagien polskiego Polesia.



Zaledwie część właściwego Polesia należy do Polski; reszta została pod panowaniem bolszewickiem. Polesie ma kształt trójkąta, na którego trzech wierzchołkach znajdują się miasta: Brześć nad Bugiem, Mohylów nad Dnieprem i Kijów. Z tych trzech miast tylko Brześć należy do Polski. Wschodnią granicę Polesia stanowi rzeka Dniepr, od północy rozciąga się szereg wyniosłości, na południu opiera się o północne stoki gór Awratyńskich.

Polesie jest trzy razy większe od Belgji, ma bowiem 8.740 kilometrów kwadratowych obszaru. Włodzimierz Wielki wydzielił Polesie dla swego syna Świętopełka, pełne wód i kniei, a więc pełne ryb i zwierza. Reinbern, biskup kołobrzeski, przywiózł Świętopełkowi żonę, córkę Bolesława Chrobrego, do Turowa. Księstwo Turowskie obejmowało całe środkowe Polesie z Pińszczyzną, a więc mniej więcej tę część, która dzisiaj należy do Polski. Księstwo Turowskie nie utrzymało swej niepodległości, gdyż zajął je Gedymin i włączył do Litwy, a później razem z Litwą stało się częścią Polski i pozostawało przy niej aż do czasu rozbiorów Polski.

Błota poleskie są to najrozleglejsze obszary błot na polskiej ziemi. Z bagien bezdennych, porosłych trzciną i sitowiem, sterczą tu i ówdzie piaszczyste wyspy, pokryte lasem szpilkowym, olchą, brzeziną i osiką. Na tych wyspach znajdują się osady ludzkie, wsie poleskie, których mieszkańcy wodnemi drogami na łodziach odwiedzają się wzajemnie. Dwie linje kolejowe przecinają je obecnie wszerz i wzdłuż. W ostatnich czasach zabrano się energicznie do osuszania tych bagien, można się więc spodziewać, że znikną one niemal zupełnie z powierzchni ziemi, pozostawiając tylko po sobie mniejsze lub większe jeziora, rzeki i spławne kanały.

W bagnach i mokrych lasach jest tam dużo zwierza, jako to: bobry, wydry, żółwie, a także niedźwiedzie. W rzekach kąpie się tysiące ryb, które służą mieszkańcom jako wyborne pożywienie.

Mieszkańcy Polesia są Białorusinami, których język jest bardzo zbliżony do polskiego. Są oni najbiedniejszym ludem na ziemiach polskich, gdyż po pierwsze ziemia jest tam bardzo nieurodzajna i mało mają tej ziemi pod uprawę, a po drugie oświata stoi tam na bardzo niskim poziomie, gdyż rząd rosyjski wcale o lud ten się nie troszczył. Po oswobodzeniu Polesia z pod panowania rosyjskiego rząd polski zajął się krajem tym i ludnością tamtejszą bardzo troskliwie. Buduje drogi, stawia szkoły, osusza bagna, jest więc nadzieja, że ludność tamtejsza podniesie się wkrótce tak kulturalnie, jak i majątkowo. Rzecz to tem ważniejsza, że Polska, troszcząc się o tamtejszych Białorusinów, stwierdza przed światem, że nietylko nie gnębi obywateli niepolskiej narodowości, ale dba o nich narówni z własnymi rodakami. Białorusini, jakkolwiek mało oświeceni, odczuwają to i w większości swej są Polsce wdzięczni za te starania, a dowód tego dali przy wyborach, głosując w olbrzymiej swej większości na kandydatów rządowych.

Największem miastem na polskiem Polesiu poza Brześciem jest Pińsk, położony nad rzeką Piną na

wyniosłem wzniesieniu, skąd roztacza się ładny widok na wody Polesia. Niestety, jest to miasteczko brudne, drewniane i zamieszkałe przeważnie przez żydów. W szkołach pińskich uczyli się: Adam Naruszewicz i Tadeusz Kościuszko.

Na obrazku naszym podajemy widoczek, przedstawiający krajobraz poleski.



MACIEK BZDURA GADA:

Mówił nam raz prefesór we szkole, ze jest na świecie taka wiara, która powiada, ze jak człowiek umrze, to dusa jego nie idzie ani do nieba, ani do piekła, ani do cyśćca, ale włazi w którebądź zwirzę, aby w niem za swoje grzychy pokutować. Jak se tam nieco popokutuje, to znowu włazi w człowieka i żyje z nim za pan brat. A w jakie zwirzę włazi, to zalezy od tego, jak człowiek zył na tej ziemi; jak zył lepiej, to włazi w lepse zwirzę, jak zył gorzej, to w gorse.

Bujda to wierutna i nawet sam prefesór powiadał, ze to bujda, ale gdyby tak było, to zaraz moznaby było poznać, cyja dusa w jakiem zwierzęciu była przed urodzeniem.

Jakby się przyjęło tę wiarę za prawdziwą, to musiałoby być tak a nie inacej, ze dusa mojej gospodyni przed ich urodzeniem się siedziała w osie i latego teraz moja gospodyni tacy źli, jak osa. Kuzden człowiek ma w sobie takie cułe miejsce, gdzie się dotykać nie pozwala, ale moja gospodyni mają wszędzie najculse miejsce. Ozwij się do nich, jak ino chces, to zawse w nich trafis na jakąsik bolączkę, bez którą z pyscusia ich wyłazi zaraz ostre ządełko i pocyna cię kłuć, a kłuć, ze omal ci kiski łokciem z brzucha nie wylizą. Ta różnica jest ino pomiędzy moją gospodynią a osą, ze osa ma swoje ządło pod ogonem, a moja gospodyni w gębie.

Jakby tak wierzyć tej wierze, to Kaścyna dusa przed jej umnozeniem się musiałaby przebywać w małpie. Bo Kaśka i dziś ino tem się od małpy różni, ze ma skórę w niktórych miejscach nie porośniętą kudłami. Ale zreśtą Kaśka podobniusieńka jest do małpy. Niech ino która dzieucha we wsi kupi se jaką nową kieckę, to i Kaśka zarazby se taką kupiła, gdyby ino miała piniądze, a ze ich ni ma, to zaraz zacyna pruć swoje hadery, przerabiać, ştukować, az je upodobni do tych, które u inksych dzieuch uwidziała. Niech se która dziopa przystrzyze grzywkę, jak u źrybice, to Kaśka zaraz przytnie se ją jesce krócej. Niech która dzieucha zyrknie na jakiego chłopaka, choćby tak ze śpasu, to Kaśka zaraz będzie do niego przewalać gały od rana do wiecora. I tak we wszyćkiem Kaśka małpuje inkse dzieuchy, więc tez ani nie chybi, ze dusa Kaśki, nim w nią wlazła przed kilkudziesięciu laty, musiała za jakąsik karę siedzieć w afrykańskiej małpie przez lat wiele.

Dusa psiwólcańskiego wójta przed wlizieniem do niego musiała siedzieć w jakiemsik pawiu we dworze. Bo wójt nas to tak, jak ten paw po gnoju dworskiem, chodzi po Psiej Wólce. Wsadzi se cygaro w twarz, nasadzi kapeluch na pałę, weźnie lagę do garści i paraduje po wsi nicem dworski łokomon po zesłorocnem zimniacysku. Pytaj się go o radę, wnieś do niego jakie zazalenie na swojego sąsiada, to udaje, ze cię nie słysy. Gdyby jesce miał ogon za sobą, toby go pewnie taksamo na ştyry mile roztocył, jak paw. Ale nie ma go bidacysko i w tem całe niescęście.

Jakby to było prawdą, w co wierzą owe gdziesik tam pogany, to dusa Kuby Podlaska, gdy się z jego pijackiego cielska uwolni, wlazłaby z pewnością w ścirwo jakiejś świni. Bo Kuba, jak ta świnia, uchla się codziennie i paskudzi swem wyglądem świat cały. Z gęby jedzie mu na ştyry łokcie smród, nogi chwieją się na wszyćkie strony, a całe ciało lata na nich, jak na kołowrotku. I jak tak dalej pójdzie, to pewnikiem jednego pięknego dnia z niego wyleci i wpadnie do jakiej świni, aby tam dalej swój świński zywot prowadzić.

Ani nie chybi, ze dusa mojego gospodarza była przed ich urodzeniem się w jakiemś niedźwiedziu. Bo gospodarz mój, jak ten niedźwiedź, spaliby ino bez dzień cały, a gdy się obudzą, to zamiast niedźwiedziej łapy ssą fajeckę od rana do wiecora. A kiedy ino ściemniać się zacyna, to znowu układają się na zimowe legowisko i jak ten niedźwiedź zasypiają. Nawet rodzona baba wrazie potrzeby dobudzić się ich nie mogą.

Nieraz se juz myślałem, w co powlazą duse nasych posłów. Zdawało mi się, ze moze w psów, bo kuzden z nich potrafi scekać, jak te pieski, ale widzi mi się, ze w takim razie nie miałyby się gdzie podziać duse hadukatów. To jedno, a po drugie, przecie wiadomo, ze zaden piesek nawet za najlepse jedzenie za cudzem panem nie poleci, a posłowie najchętniej się tam garną, gdzie korytko pełne. Zdaje mi się, ze poselskie duse rozlizą się po różnych zwirzętach, a najwięcej ich powlazi w osłów, bo swoim talentem najlepiej się nadadzą do tego. A przecie i osieł, jak potrza, od casu do casu ryceć potrafi.

Jakby to, powiadam, wszyćko było prawdą, to jabym chciał, aby moja dusa po mojej śmierci wlazła w bociana. Cobym ja dziecek nanosił do nasej parafji. Jegomość za same chrzty kupiliby se nową lewerendę i ze ştyry auta, a ja ze ştyry razy przynajmniej na dobę byłbym bocianim tatusiem.



Wolna myśl!!!

Myślą strzelaj hen... w błękity;
W każdej chwili w każdej porze,
Wdal... przez pola, na gór szczyty!
Tam — gdzie błyszczą jasne zorze.

Myślą czynem płyń — daleko...
Wśród burz życia na zagonie.
Niech nie roni łzy twe oko;
Gwiazdka szczęścia niech zapłonie.

Myślą zawsze płyń w przestworza;
Nad szumiące pola, niwy,
Wśród wzburzonej fali morza,
Niech los będzie ci szczęśliwy.

Wolną myślą w krańce świata
Płyń — swobodnie, wdal... nieznaną,
Choć cię nieraz ból przygniata;
Jednak w przyszłość dąż świetlaną!!!

Marja Byczkówna.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Stany Zjednoczone III.

W poprzednim numerze „Roli“ wspomnieliśmy o jednem z miast amerykańskich, w którem mieszka wielu Polaków i podaliśmy widoczek placu Lafayette. Dziś dla uzupełnienia podajemy jeszcze trzy widoczki z tego miasta, a mianowicie: katedrę św. Pawła, katedrę protestancką i ratusz w Buffalo.



Katedra św. Pawła.

Katedra św. Pawła, jak to widzimy zresztą na naszym obrazku, jest świątynią okazałą, zbudowaną w stylu nowogotyckim. — Wspaniała jej wieża wznosi się wysoko ponad otaczające ją budowle. Choć w Buffalo jest wielu katolików, nie ujrzysz tam w czasie nabożeństwa tego morza głów, co w naszych kościołach w Polsce. Wprawdzie wszystkie ławki są zajęte, a i obok nich stoi wielu pobożnych, ale ścisku takiego, jak u nas nigdzie niema. Składa się na to wiele przyczyn, a więc przedewszystkiem dość duża liczba kościołów katolickich w mieście, powtóre, że mieszkańcy Buffalo należą do różnych wyznań, które mają swoje oddzielne świątynie, a wreszcie, że wiara wśród robotników nie jest tak silna, jak u naszego ludu wiejskiego. Wielu też na nabożeństwa chodzi więcej dla zwyczaju, aniżeli z pobożności.

Z uwagi, że w Ameryce wszystko odbywa się w nadzwyczaj szybkiem tempie, mogłoby się zdawać, że i nabożeństwo trwa tam bardzo krótko. A tymczasem tak nie jest, gdyż kapłani, chcąc w świątyni przetrzymać jak najdłużej wiernych, nie spieszą się wcale. Na ołtarzach w czasie Mszy świętej płoną w srebrnych lichtarzach woskowe świece, a w chwili, gdy kapłan ma śpiewać Ewangelję, zapalają się setki lampek elektrycznych, poumieszczanych tak, że tworzą przecudne różnokolorowe desenie, i świecą się aż do Komunji kapłańskiej, — Kiedy ksiądz wyjdzie na ambonę, aby wygłosić kazanie, wszystkie ławki na zawiasach obracają się przodem ku ambonie tak, że wierni mogą słuchać słowa Bożego zupełnie wygodnie.



Katedra protestancka.

Podczas nabożeństwa tak. jak zresztą i we wszystkich kościołach amerykańskich odbywa się kwesta, nie na „światło“ tylko, ale na utrzymanie kościoła i duchowieństwa nie pobierającego, jak wiadomo, żadnych rządowych pensyj. Zbieranie dobrowolnych datków niczem nie przypomina pobożnej żebraniny, jaką się praktykuje u nas. Młody kleryk, który tam przeważnie zbiera owe datki, nie zbliża się trwożliwie, jak u nas kościelny, nie potrząsa puszką, nie szepce: „Na odnowienie wielkiego ołtarza“ lub „Na sprawienie nowych organów“ i za każdego miedziaka nie dziękuje: „Bóg zapłać!“ Przeciwnie, poczyna sobie, jak poborca podatkowy. Kto chce uczestniczyć w nabożeństwie, musi za to zapłacić, bo w Ameryce nic zadarmo. Może być, że datki te niejednego od uczestnictwa w nabożeństwie powstrzymują, ale inaczej być nie może, gdy duchowieństwo na utrzymanie kościołów, ani siebie nie pobiera żadnych żadnych pieniędzy od rządu. Jeżeli u nas zaledwie co dziesiąty daje na tackę, czy do puszki jakąś ofiarę, to w Ameryce nikt się od tej ofiary nie uchyla, bo wie, że to jest jego obowiązkiem, aby na wspólny cel złożył tyle, na ile go stać.



Ratusz w Buffalo.

Powiedzieliśmy powyżej, że w Buffalo mieszka również dużo Polaków. Nie jest to jednak największe skupienie naszych rodaków poza oceanem. Jest ich dość i w innych miastach, a może najwięcej w Chicago, gdzie liczba samych Polaków przewyższa liczbę wszystkich mieszkańców naszego Lwowa lub Krakowa. Na ulicach Chicago spotkasz na każdym kroku swojego rodaka, wszędzie słychać polską mowę, a napisy nad wielu sklepami obok napisów angielskich mają również i napisy polskie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w Stanach Zjednoczonych żyje przeszło 4 miljony Polaków i że skupiają oni się przeważnie po miastach, tworząc w nich niejednokrotnie osobne dzielnice, to też nie będziemy się dziwili, że właśnie

w miastach amerykańskich tak łatwo napotkać na każdym kroku naszych rodaków.

Mieszkają Polacy i po wsiach, w tak zwanych fermach, czyli gospodarstwach rolnych, ale ci, nie mając w pobliżu ani szkół polskich, ani kapłanów-Polaków, łatwiej się wynaradawiają i z czasem stają się Anglikami. To też niejednokrotnie można spotkać Amerykanina o nazwisku polskim, który nie umie słowa po polsku, a często nawet nie wie, że jego pradziadowie byli Polakami i gdzieś tam w Psiej Wólce na Podkarpaciu ziemię ojczystą uprawiali.

Ale to są wyjątki, bo ogół Polaków skupia się w różnych towarzystwach polskich, pielęgnuje język ojczysty, zakłada szkoły polskie, buduje kościoły, w których kapłani-Polacy głoszą po polsku słowo Boże. A stowarzyszenia te liczą dziesiątki i setki tysięcy członków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MICHAŁ JUNJOR SMAGOWICZ.

Janek „Odmieniec".

(Nowelka). (Dokończenie)

Tymczasem Burta pilnował krów, które porykując zcicha chciwie spoglądały na szumiącą w dole rzekę, która nęciła ich zimną kąpielą. Ale darmo, bo gdy jedna, śmielsza, posunęła się w stronę rzeki, jedno groźne warknięcie Burty ostrzegło ją, że żartować nie będzie. Ale i psy mają chwile słabości. — Wkońcu gorąco poczęło Burtę rozbierać. Naprzód jedno oko przymknął, patrząc groźnie na krowy drugiem, ale i ono mu wkońcu odmówiło posłuszeństwa i Burta zasnął. Tego tylko czekały krowy. Pędem puściły się do rzeki, poczem przepłynąwszy ją, wlazły w szkodę.

A Janek leżał i śnił ciągle, ale wokoło niego zamilkły już ptaki, przeczuwające nawałnicę, przestały brzęczeć muszki, ważki i szklarze, a nawet drżąca osika stuliła swe listki. Wszystko przycupło, ucichło, zamilkło. Las gotował się do walki z nadchodzącą burzą. Zwolna, po chwili, zaszumiała spodem gęstwina świerków, jakby zew do wspólnej walki podając. Poważnie odpowiedziały silnym poszumem gałęzi i konarów stare dęby, buki i graby, jakby mówiąc: i myśmy gotowe. Cały las skupił się w sobie, zebrał i oczekiwał pierwszego ciosu. I nie długo czekał. W dali na wschodzie kłębiły się już ciemno-granatowe zwały chmur, gnane huraganowym wichrem, z głuchym gruchotem tocząc się groźnie naprzód, jak spienione, grzywiaste morskie bałwany, grożące potopem i zalewem wszystkiego. Wnet rozlały się po wschodniej części nieba. Razem z tumanami kurzu, piasku, pękami traw i słomy, wydartemi łąkom i polom, wicher runął w głąb lasu. Las zaryczał głucho i boleśnie, jak zwierz ciężko raniony i, zebrawszy wszystkie swe siły, począł się zmagać z szalejącą wichurą. W całym lesie rozlegał się trzask łamanych gałęzi i pękających konarów, czasem któreś z drzew waliło się bezsilnie, wyczerpane walką z żywiołem. Las huczał głucho.

Janek zerwał się na równe nogi z pierwszem uderzeniem wichru.

— Retyściewy, toć pospałem, a tu mi burza pewnie krowy po lesie rozgoni, — krzyknął z rozpaczą i pognał ku pastwiskom, w dzikiej trwodze o krowy.

Ani śladu po nich nie było widać.

— Snać w las pójść musiały, — pomyślał Janek, a gdzie Burta, żeby mi choć z pomocą przybiegł, myślał, gnając w rozpaczy w głąb lasu.

Już całe niebo zakryło się nawałą chmur, rozdzieranych co chwila zygzakami piorunów. Wnętrze lasu pokryła ciemność, którą tylko żółto-trupia błyskawica rozjaśniała upiornie na chwilę. Równocześnie gęsta zasłona deszczu opuściła się na rozpaloną ziemię. Szum ulewy coraz to potężniał, już nie deszcz to był, ale istny potop. Nie strugi, ale potoki wody lały się z upustów nieba, które jakby wszystko pragnęło zniszczyć groźnym żywiołem. Woda szybko zapełniała wgłębienia gruntu, tworząc małe jeziorka i strumieniami spływając ku rzece. Gdzieniegdzie waliło się podmulone drzewo. A rzeka podnosiła się szybko, rosła prawie że w oczach, zalewając szerokie pola i przyległe pastwiska. Tylko koło mostu jeszcze nie wylała, bo brzeg tu był dość wysoki. Ale już brudno-żółte fale dosięgały przęseł mostu.

Nawałnica zwolna przechodziła, a ulewa zamieniła się w drobny kapuśniak.

Ludzie ze wsi wylegli nad brzeg rzeki, by zobaczyć, czy wsi nie grozi zalanie.

— Pewnosik oberwanie chmury, — biadała organiścina, która z niepokojem patrzała na drugi brzeg rzeki, skąd miała przyjść Zochna, która rano jeszcze poszła na plebanję.

Z niecierpliwością spoglądał także Florek w stronę lasu, skąd droga od plebanji prowadziła.

— Z pewnością na plebanji została, bo i pocoby nosa na taki czas wychylała, — dodawała sobie otuchy organiścina.

— Pewno, pewno, — wtórowały kumoski, — chybaby z rozumu była obrana.

Jakby na zaprzeczenie, w tej chwili ukazała się na drodze Zochna, która skorzystała z osłabnięcia nawałnicy, by dostać się do wsi. Zawahała się chwilę przed wejściem na most, po którym już teraz przelewały się mętne fale. Mimo krzyku ludzi, by poczekała na łódź, po którą do dworu posłano, zaczęła iść. — Szczęśliwie doszła do środka mostu i otucha wstąpiła w serce patrzących, gdy w tem most, widać podmyty falami, runął z trzaskiem w wodę.

Krzyk i wrzawa zerwała się na brzegu. Ludziska potracili głowy. Jedni słali parobków do dworu, by pomogli Florkowi w przyniesieniu łodzi, drudzy zaś stali, głupawo patrząc w mętne fale rzeki. W tem pluskot jakiś rozległ się przy drugim brzegu. Wszystkich oczy zwróciły się w tą stronę. Ktoś płynął szybko ku środkowi. Był to Janek, który, zziębnięty i przemoczony, był świadkiem zawalenia się mostu. Nie namyślając się wiele, wskoczył szybko w wodę i, borykając się z prądem i wirami, dopłynął do Zochny, która już pogrążała się w fali. Silną ręką chwycił ją pod pachy i począł płynąć ku przeciwnemu brzegowi. Cisza zaległa brzeg.

— Dopłynie, czy nie? — szeptali parobcy, dziewki, gospodarze.

— Boże litościwy! Dodajże mu sił, zlituj się nademną — szeptała zbielałemi wargami organiścina.

A już Janek słabnąć zaczynał, ostatkiem sił walcząc z falą, gdy szczęściem nadbiegli ludzie z łodzią. Wnet zepchnięto ją na wodę i Florek, skoczywszy, pchnął ją zaraz ku słabnącemu Jankowi. Szybko wciągnął Zochnę na łódź, a za nią wdrapał się Janek. — Łódź właśnie dobija do brzegu, gdy z tłumu ludzi wysunął się Maciej i patrząc groźnie na stojącego w tyle łodzi Janka, huknął:

— A gdzieżeś krowy podział, hultaju jakiś, co? Myśl straszna przebiegła Jankowi przez głowę, że krowy może rzeka uniosła. Ugięły się mu ze strachu kolana i runął wtył do wody.



Borykając się z prądem, dopłynął do Zochny.

Krzyk i wołanie o pomoc zerwało się ponownie. Szybki prąd wody uniósł Janka na środek rzeki. Zanim Florek podpłynął ku niemu, zniknął już raz pod wodą. Po chwili wynurzył się opodal i próbował walczyć z falą. W tym momencie w zachodniej stronie nieba rozdarły się czarne chmury i błysło złote słońce, zalewając wszystko oślepiającem światłem.

I rozszerzyły się, tonąc w zachwycie tajnie piwnych oczu Jaśkowych, bo tak cudnego słoneczka jeszcze nie widziały w swem życiu, oj nie! Takiego to i pewnie w żadnych cudnych krajach niema. I chciałby Janek Burty wołać, by mu pokazać, bo i on pewnie jeszcze takiego nie widział. A takie się mu śliczne wydawało, jak to, co w krainie jego królewny świeciło. I zdało się Jankowi, że jego królewna jest tuż obok, że bierze go za rękę i tak słodko mówi:

— Pójdź Janku ze mną, a ja ci pokażę cudności, jakich nikt jeszcze nie widział i będziemy razem, dla siebie, na wieki.

Raz jeszcze spojrzał Janek w bezmiernym zachwycie na słonko, i szepcąc: „słoneczko, słoneczko“, pogrążył się w fali.

MAURYCY LEBLANC.

Miłość.

Skoro tylko okręt przybił do brzegu, Jakób Dufriche, poinformowawszy się dokładnie o drogę na pocztę, zwrócił się w długą ulicę, przecinającą Gibraltar.

Był to ostatni przystanek w powrotnej drodze wyprawy naukowej skroś afrykańskich wybrzeży, którą przedsiębrał Jakób z garstką badaczy.

Obecnie pośpieszał, spodziewając się znaleźć list od ukochanej żony.

Nadzieja jego nie była płonna. Urzędnik wręczył mu list.

Z hamowanem wzruszeniem wpił się oczyma w drobne kobiece pismo, opowiadające serdecznie o cichem życiu dwojga ukochanych istot. Zakończenie brzmiało:

„Pojadę na twe spotkanie do Marsylji, Jakóbie mój najdroższy, i znajdziesz mnie taką, jaką żegnałeś, niezbyt postarzałą, o ile mi się zdaje, a jeszcze bardziej kochającą. Nie znam innego szczęścia nad Twą miłość, ani innego celu, oprócz tego, by Cię uczynić szczęśliwym. Pragniesz dowodu? Oto zaraz po otrzymaniu Twego listu zamknęłam nasz dom dla mego kuzyna, Jerzego de Broncourt. Miałeś słuszność i ostrzeżenie Twoje otwarło mi oczy: odwiedziny jego stawały się zbyt częste. Myślałam zawsze, iż kobieta, kochająca męża, wolna jest od takich podstępnych podejść. Niestety, myliłam się. Upozorowałam jakkolwiek mój zamiar względem Jerzego i odmówiłam oczywiście towarzyszenia mu na niedzielną wycieczkę samochodową...“

Jakób poczuł łzy zwisające pod powiekami. Miłość żony zawsze go rozrzewniała. Czuł do niej więcej, niż zaufanie, coś w rodzaju czci, jaką się darzy istoty szlachetniejsze od siebie.

Z rozradowaną duszą przechadzał się nad morzem, pojąc oczy bujną roślinnością południową i czarem lekkuchnych fal. A gdy nadeszła godzina odjazdu, skierował się znów ku długiej ulicy, obstawionej kioskami. W jednym z nich ujrzał gazety cudzoziemskie. Nabył więc jakiś dziennik francuski, który zaczął czytać po drodze.

Nie zrobił dziesięciu kroków, gdy zdławił w sobie krzyk. Ziemia pod nim zafalowała, a błędne źrenice szukały znowu kilku straszliwych wierszy, które przedtem przyciągnęły jego wzrok. Przeczytał je powtórnie z nieopisanem przerażeniem.

„Z ostatniej chwili. Wczoraj w niedzielę o zmroku, między Rambouillet a Chevreuse, auto p. Jerzego de Broncourt wpadło na słup telegraficzny i zostało doszczętnie zmiażdżone. Pan B. zabity na miejscu. Towarzysząca mu pani Jakóbowa Dufriche wraz z dziesięcioletnią córeczką, zmarły w kilka minut potem“.

Przed Jakóbem był szynk. Wszedł. Wypił szybko dwie szklenice wódki i wsunął rękę do kieszeni, w której nosił rewolwer. Nie znalazłszy go, przypomniał sobie, iż zostawił go w kajucie okrętowej. Wówczas wyszedł z szynku i chyżo biegł ku przystani, mając jedną myśl, by skończyć z życiem jaknajprędzej.

Okrutne słowa wzmianki dziennikarskiej paliły mu mózg, niczem ołów roztopiony. Widział w imaginacji trupy żony i dziecka i wzdrygał się na myśl o ohydnej zdradzie, o kłamstwie, zawartem w dopiero co przeczytanym liście, o tych wszystkich obłudnych zapewnieniach tkliwej miłości.

Gdy znalazł się na miejscu, prawie wszyscy pasażerowie byli już na okręcie. Zdawało się, iż większość, trzymających gazety w ręku, spoglądała nań litośnie.

Zeszedł do kajuty, zamknął się na klucz, chwycił kurczowo rewolwer i przystawił go do skroni.

Po dwóch godzinach, gdy garson przyszedł z wiadomością o podanej wieczerzy, Dufriche otworzył drzwi i udał się do sali jadalnej.

— Przepraszam państwa, — rzekł do swych sąsiadów — spóźniłem się nieco.

Wydawał się zupełnie spokojny. Oblicze jego nie wyrażało żadnego bólu.

Wokół panowało przygniatające milczenie. Patrzano ze zdumieniem na człowieka, który dowiedział się o śmierci żony i jedynego dziecka, a mimo to zachowującego taki lodowaty spokój. Czyżby nie wiedział o tragicznej wieści?

To niepodobna, gdyż wchodząc na statek, trzymał w ręku tą samą gazetę, z której wszyscy do-

wiedzieli się o katastrofie, pozatem dziwny wyraz jego twarzy w owej chwili, bladość, niepewne ruchy świadczyły, iż czytał fatalną nowinę. W takim razie, jak mógł zapanować do tego stopnia nad boleścią tak straszną, jak mógł obojętnie ukrywać otrzymaną ranę?

W ciągu wieczoru i następnego dnia zachowywał się podobnie. Jeno więcej, niż ongi przesiadywał w kajucie. Lecz w czasie spotkań z współtowarzyszami, przybierał taką samą swobodę myśli, to samo równe usposobienie, a rozmowa jego była tak naturalna, iż niepodobna było przypuścić, że udaję.

Znano jego szczerość. Przypomniano sobie, z jaką miłością mówił o żonie i córce, z jaką dumą pokazywał ich podobizny. Takie uczucia nie gasną odrazu. Silniejsze się stają raczej pod ciosem. A jakież mogło się zdarzyć nieszczęście większe nad tę katastrofę, o której wieść dochodziła zdala, przypadkiem ze szpalt kupionego czasopisma!

Upływały chwile. Przybliżano się do celu. Rozróżniać się dało wybrzeża Francji. Marsylja ukazała się na widnokręgu, stawała się coraz wyraźniejsza. W trakcie tego Jakób zostawał w kajucie, nie pokazując się otoczeniu. Służba okrętowa wyniosła jego rzeczy, od niej to dowiedziano się, iż leżał na łóżku bez ruchu, odwrócony plecami.

Wjechano do portu. Na brzegu powiewały chusteczki, kobiety i dzieci okazywały radość.

Jednak pasażerowie, zaprzyjaźnieni z Jakóbem, oczekiwali, by wyszedł na pokład. Obawiali się bowiem, by w tej okrutnej dlań chwili nie uczynił rozpaczliwego kroku. I jeden z nich, wysłany przez pozostałych, zeszedł do kajuty.

— Czy pan idzie, panie Dufriche?

— Jestem — odparł Jakób.

Na pokładzie przyjął ramię towarzysza i oparł się nań silnie. Pozwolił się prowadzić i szedł ze spuszczoną głową.

Weszli na mostek.

— Niech mnie pan podtrzyma — szepnął Dufriche — bo upadnę.

Wtem raptem, jakby posłuszny jakiemuś nieodpartemu nakazowi, wysunął dłoń i podniósł głowę.

— Genia! — wykrzyknął. — Henia!

Młoda kobieta i dziewczątko biegły ku niemu, przedzierając się przez tłum. Rzucił się ku nim, chwycił je obydwie w ramiona i przyciskając je gwałtownie do piersi bełkotał:

— Geniu... to ty, najdroższa... ach! ja wiedziałem... moja Genia!

Przypatrywano się im, nie pojmując, kogo Dufriche mógł tak gorąco witać.

— Geniu! Geniu! — powtarzał — to ty...

Zachwiał się, bliski omdlenia. Żona zauważyła, iż płacze i, odgadując nagle przyczynę jego nadmiernego wzruszenia, rzekła:

— Jakóbie, Jakóbie! jestem pewna, że czytałeś ową gazetę...

— Tak...

— I byłeś pewny, że to my zginęłyśmy tragicznie?

— Wiedziałem, że nie.

— Jakto?

— Wszak miałem twój list, w którym przyrzekałaś nie widywać się z Jerzym de Broncourt, i nie jechać z nim samochodem.

— I miałeś dosyć ufności we mnie?... mimo gazety... mimo nazwisk...

Teraz ją ogarnęło wielkie wzruszenie i szepcąc, tłomaczyła:

— Popełniono omyłkę... Ofiarami były twoje kuzynki Dufriche... W ostatniej chwili, gdy ja odmówiłam, Jerzy je zaprosił. W jednej tylko gazecie się omylono... napisano Jakóbowa Dufriche... Dowiedziałam się o tem zapóźno, by ci telegrafować... Och jak cierpiałeś!

— Nie miałem prawa cierpieć, gdyż list twój leżał przedemną, ponieważ znam ciebie i wiem, iż kłamać nie umiesz. Nie, nie wierzyłem, Geniu... nie mógłbym wprost uwierzyć w coś podobnego z twej strony...

Zamilkli, tuląc się do siebie. Żadne słowo nie potrafiłoby wyrazić ekstazy, w jakiej się znajdowali. Wstrząsał nimi dreszcz. Czuli się w swej ludzkiej słabości, dzięki potędze miłości, silniejsi od losu, wyżsi nad nieszczęście, potężniejsi, niż śmierć. I wśród tłumu, przypatrujących im się ludzi, mieli ochotę upaść na kolana i zanieść się od szlochu.

Spolszczył *Czesław Wośkowski.*



Śmietana.

(Obrazek z życia Rosji przedwojennej).

Chłop wiózł na targ do pobliskiego miasteczka beczkę zsiadłego mleka, i kiedy wjeżdżał do miasta, z bocznej ulicy wyjechał żydowski wózek z wielkim pośpiechem i zawadził o wóz chłopa tak fatalnie, że beczka spadła z wozu i w jednej chwili na ulicy powstało białe jezioro.

Na tę scenę nadjechał prystaw (urzędnik rosyjski).

— W czem rzecz? — zapytał groźnie, patrząc na zbiegowisko ludzi.

Chłop podszedł do pana prystawa i mnąc czapkę w ręku, zaczął opowiadać całą swoją przygodę.

— Dobrze — powiedział pan prystaw — stawcie się obaj u mnie w domu, a ja już rozpatrzę waszą sprawę.

Ano, rozkaz to rozkaz. W oznaczonym terminie stawiły się obie strony przed groźne oblicze pana prystawa. Zawezwano najpierw chłopa.

— Co wiozłeś? — zapytał groźnie prystaw.

— Mleko, proszę pana.

— Ile tego było?

— Dwadzieścia garncy.

— Po ile garniec?

— Po dwadzieścia kopiejek.

— Dureń jesteś! rozumiesz! — zawołał prystaw.

— Rozumiem, panie naczelniku.

— Jeżeli zapytam się ciebie, co wiozłeś — odpowiadaj „śmietanę“, panie naczelniku.

— Ile garncy?

— Czterdzieści.

— Po ile garniec?

— Po 50 kopiejek, panie naczelniku, zrozumiano? — a teraz możesz odejść.

Po krótkiej chwili policjant zawezwał poszkodowanego i wnowajcę przed groźnego „naczelnika!“

— Co wiozłeś? — zapytał prystaw chłopa.

— Śmietanę, proszę pana.

— Kłamie — wrzasnął żyd — on mleko wiózł i do tego kwaśne...

— Milczeć! — gromowym głosem ryknął prystaw.

— Ile garncy?

— Czterdzieści, proszę pana.

— Żebyś ty tak żył — zapiszczał żyd.

— Stul pysk, żydzie! — zawołał pan prystaw.

— Po ile garniec?

— Po pięćdziesiąt kopiejek, panie.

— Cobyś ty tak był zdrów, jakby ci za wszystko tyle dali.

— Zamkniesz ty gębę, żydzie, czy ci ją mam zamknąć? — krzyknął groźnie prystaw, a zwracając się do chłopa, rzekł:

— Czterdzieści garncy po pięćdziesiąt kopiejek czyni dwadzieścia rubli. Płać! — rzekł do żyda.

— Oj giewałt! panie naczelnik, za co? ja nawet tyle pieniędzy nie mam.

— Ano, nie masz, to trudno, sprzedamy konia — odrzekł mu prystaw.

Biedny żyd widząc, że głową muru nie przebije, zapłacił chłopu 20 rubli i odszedł, życząc panu prystawowi i całej jego rodzinie do siódmego pokolenia włącznie wszystkich plag egipskich i temu podobnych rzeczy, a w ślad za nim podążył chłop.

Gdy chłop zabierał się do odjazdu, wezwano go znowu do prystawa.

— Co wiozłeś? — zapytał na wstępie.

— Śmietanę, panie...

— Co, co wiozłeś? ty chamie! — ryczy prystaw.

— Mleko — poprawił się chłop.

— Ile garncy?

— Dwadzieścia.

— Po ile garniec?

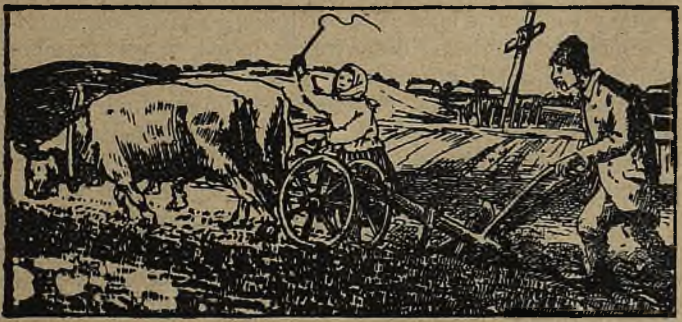
— Po dwadzieścia kopiejek, panie naczelniku.

— Dawaj pieniądze, które otrzymałeś od żyda.

Chłop podał pieniądze, a pan prystaw zaczął głośno rachować: Dwadzieścia garncy po dwadzieścia kopiejek uczyni cztery ruble.

— Ej ty — rzekł do chłopa — masz tutaj cztery ruble za mleko, a resztę — rzekł, kładąc pieniądze do kieszeni — mnie za śmietanę.

P. Mrozowski.



Poradnik gospodarczy.

Żywienie cieląt do roku.

Ażeby z cieliczek wyrosły dobre krowy, trzeba je, gdy są młode, dość silnie i odpowiednio karmić. Najważniejszą rolę w wychowie młodych cieląt odgrywa mleko, to też jak najdłużej trzeba to mleko dawać, najmniej w ciągu trzech, a lepiej w ciągu czterech miesięcy. Malutkim cielętom daje się tyle mleka, ile wynosi siódma część wagi cielęcia. Potem, ponieważ wychów byłby zbyt drogi, zastępuje się stopniowo mleko pełne, mlekiem odtłuszczonem. — Gdy cielę ma 70 kilogramów wagi, ilość mleka, przypadająca na niego wynosi 10 litrów dziennie. Przez pewien czas daje się tę ilość, lecz już miesięcznemu cielęciu można częściowo dawać mleko chude. Z początkiem trzeciego miesiąca zaczyna się stopniowo ujmować porcję mleka. Przy karmieniu chudem mlekiem, trzeba pamiętać o dodawaniu siemienia lnianego (łyżkę na litr mleka), gdyż pewna ilość tłuszczu jest cielęciu do dobrego rozwoju koniecznie potrzebna.

Już w trzecim tygodniu zaczyna się przyzwyczajać cielęta do jedzenia owsa gniecionego i siana. — W miarę, jak cielę przyzwyczaja się do jedzenia, powiększa się porcje owsa i siana, których daje się tyle, ile może ono zjeść w ciągu dnia. Trzymiesięczne cielę powinno zjadać około 1 kilograma siana i pół kilograma owsa dziennie. Ponieważ w tym czasie następuje zmniejszenie dawki mleka, a cielę rośnie i potrzebuje ono coraz więcej jedzenia, przeto potrzeba dawać trzymiesięcznym cielętom mieszankę, złożoną w równych ilościach z owsa gniecionego, otrąb pszennych, śróty jęczmiennej, bobikowej i makuchu lnianego. Oczywiście jeżeli ktoś nie może dawać wszystkich wymienionych tu składników, będzie dawał to, co ma, ale nigdy nie może w mieszance dla cieląt braknąć owsa i makuchu lnianego. — Tej mieszanki daje się od pół kilograma, umniejszając równocześnie dawkę owsa gniecionego, którą do tej chwili cielę otrzymywało. W czwartym miesiącu można już dawać 1 kilogram tej mieszanki. Z chwilą zaś, gdy przestanie się dawać mleko, podnosi się dawkę do półtora kilograma dziennie i tę ilość pozostawia się niezmienioną do roku.

W miarę wzrostu cielęcia powiększa się też dawkę siana, co miesiąc pół kilograma. Cielę roczne powinno zjadać 5—6 kilogramów siana dziennie.

Jedną z najważniejszych pasz, potrzebnych koniecznie dla cieląt, są buraki. Młodym cielętom nigdy nie należy dawać ziemniaków, gdyż nie będą dobrze rosły, natomiast zaczną osadzać tłuszcz, co u sztuk przeznaczonych do hodowli, jest w wysokim stopniu niepożądane. Już trzymiesięcznym cielętom daje się buraki, szarpane lub drobno przerąbywane. Zawsze muszą być one płukane, by nie były oblepione błotem, które jest szkodliwem obciążeniem żołądka. Buraków daje się początkowo 1 kilogram dziennie i co trzy tygodnie dodaje się po 1 kilogramie. Młodzież roczna powinna zjadać 10—12 kilogramów dziennie buraków. Starszym cielętom można częściowo zamiast buraków dawać kiszonkę w tej samej ilości, nigdy jednak nie powinno się dawać samej tylko kiszonki.

Gdy cielęta przestają otrzymywać mleko pełne, trzeba im dodawać do paszy codziennie łyżkę kredy szlamowanej i pół łyżki soli kuchennej. Pewna ilość soli mineralnych jest koniecznie potrzebna do dobrego rozwoju kości i mięśni. Zwłaszcza gdy daje się cielętom kiszonkę, stanowczo nie wolno wtedy zapominać o dodatku kredy szlamowanej. Lepiej nawet jest dawać wtedy fosforany pastewne zamiast kredy.

St. Krawczyńska.

Praktyczne rady.

Nowe doniczki szkodliwe są dla kwiatów. Należy je namoczyć w wodzie na kilka godzin, a dopiero potem nasypać w nie ziemię (na spód dać natłuczone skorupy) i kwiaty przesadzić.

* * *

Aluminowe ryneczki i garnki otrzymają znowu połysk, gdy się w nich gotuje rabarbarum (rhubarb).

KRONIKA.

Odroczenie Sejmu i Senatu. Pan Prezydent Rzeczypospolitej pismem z dnia 9 b. m. odroczył Sejm i Senat na dni 30. Wskutek tego obrady naszych posłów i senatorów nie rozpoczną się wcześniej, aż około 9 grudnia b. r.

Jubileusz ks. biskupa Kubiny. W niedzielę dnia 8 b. m. Częstochowa uroczyście obchodziła 25-lecie kapłaństwa ks. biskupa Kubiny. Miasto przybrano flagami o barwach narodowych i papieskich. Rano w kościele katedralnym odbyła się uroczysta suma pontyfikalna, celebrowana przez jubilata. Po odśpiewaniu „Te Deum" jubilat przeszedł przez szpaler delegatów cechów, straży ogniowej, młodzieży i t. d. do gmachu straży ogniowej, gdzie w wielkiej sali odbyła się akademja jubileuszowa, na której odczytano list Ojca św. z błogosławieństwem dla ks. biskupa oraz depesze gratulacyjne od p. Prezydenta Rzeczypospolitej, premjera Prystora oraz ministrów: Jędrzejowicza i wiceministra ks. Żongołłowicza. Jubilatowi wręczono adres pamiątkowy i 4.000 zł., które jubilat przeznaczył na kuchnie dla ubogiej ludności.

Proces „brzeski". Proces przeciw b. więźniom brzeskim trwa w dalszym ciągu. Przed obliczem sędziów stają liczni świadkowie, którzy podają mniej lub więcej obciążające szczegóły z działalności oskarżonych. O ile któryś z świadków zeznaje niekorzystnie dla obwinionych, obrońcy zasypują go szeregiem pytań, chcąc osłabić jego zeznania. Proces potrwa jeszcze czas dłuższy, gdyż wielu świadków nie zostało jeszcze przesłuchanych.

Tragedja rodzinna w lesie. Do Osławca pod Bydgoszczą przyjechał w ubiegłym tygodniu jakiś mężczyzna z dwojgiem dzieci. Przybyły zaraz po przyjeździe udał się do lasu, jakby na przechadzkę. Gdy był już w lesie, usłyszano nagle cztery strzały, dochodzące ze strony lasu. Udano się natychmiast na poszukiwania i znaleziono na polance leżącego na ziemi i już dogorywającego człowieka, a obok niego ciała dwojga nieżywych już dzieci, ułożonych starannie na płaszczu. Jak stwierdzono, chłopiec został zabity jedną kulą, dziewczynka dwoma strzałami. Ojciec leżał ze straszliwie zmasakrowaną głową. Jak się okazało, był to kupiec z Bydgoszczy, Czesław Biernacki, którego do tego strasznego czynu popchnęły kłopoty finansowe.

Straszna śmierć wieśniaka. Na folwarku Nowiny w powiecie siedleckim kopał niejaki Matyszek przy pomocy jednego robotnika studnię. W momencie gdy głębokość dołu wynosiła już kilkanaście metrów, niezabezpieczona ziemia zaczęła się usuwać i zasypała nieszczęśliwego Matyszka. Pomocnik jego w ostatniej chwili zdołał się wydostać z zagrożonego miejsca. Na krzyk jego zbiegli się mieszkańcy wsi i poczęli szybko ziemię odkopywać. Mimo jednak wytężonej pracy nie dało się nieszczęśliwego ocalić. Wydobyto jedynie trupa ze złamanym kręgosłupem.

Przemytnik z pętlą wisielczą. Z Wilna donoszą: Na terenie odcinka granicznego Filipów miał miejsce niezwykły wypadek. Dwaj zawodowi przemytnicy Jan Piżera i Juljan Okułowicz przekroczyli niepostrzeżenie granicę polską z zamiarem przeszmuglowania z Litwy większego transportu tytoniu i sacharyny. Po przekroczeniu linji granicznej przemytnicy postanowili pojedynczo przedostać się w głąb kraju i w tym celu każdy z nich powędrował inną drogą. Zaledwie jednak Okułowicz zdołał oddalić się o kilkaset metrów, został znienacka napadnięty przez Piżerę, któremu po oddaleniu się kolegi przyszła myśl zawładnięcia jego przemytem. Myśl tę Piżera bez namysłu wcielił w czyn i dopędziwszy niespodziewającego się podstępu kolegę, zarzucił mu błyskawicznie na szyję pętlę i po krótkiem szamotaniu udusił. W kilka godzin później patrol K. O. P., lustrując nad ranem odcinek graniczny, natrafił na zimne już zwłoki jakiegoś osobnika. Traf chciał, że prawie jednocześnie zatrzymany został Piżera, przy którym znaleziono przemycony towar, wartości kilku tysięcy złotych. Podczas badania w strażnicy przemytnik-morderca zdradzał niezwykłe podniecenie, co nasunęło myśl, że ma on jakiś związek z tajemniczo zamordowanym osobnikiem. W toku dalszego śledztwa przypuszczenie to znalazło całkowite potwierdzenie. W ogniu krzyżowych pytań Piżera przyznał się do podwójnej zbrodni: morderstwa i przemytu. Zbrodniarza przekazano do dyspozycji władz śledczych.

Walka zazdrosnego psa. W pewnej wsi na Dolnym Śląsku ożenił się młody chłop z córką zamożnego gospodarza i odziedziczył wraz z jej posagiem także psa, którego ona wychowywała od małego szczeniaka. Młody małżonek zaprzyjaźnił się na długo przed ślubem z nieodstępnym towarzyszem ówczesnej narzeczonej, i to tem chętniej, że pies wyróżniał się rzadkiem przywiązaniem i okazywał przywiązanie do młodego pana. Po założeniu nowego ogniska domowego towarzyszył swojemu państwu w pole, pilnował bydła i wszędzie starał się być pożytecznym. Nic dziwnego, że pieszczono go więcej, niż to jest w zwyczaju. A pies odwdzięczał się za to tem większą wiernością. Nagle ta rzadka idylla zachwiała się. Młoda wieśniaczka dała życie małemu obywatelowi świata i przeniosła na niego wszystkie swoje zainteresowania. Wprawdzie jej stosunek do psa nie zmienił się, ale zapewne zwierzę łatwo zrozumiało, że mały przybysz, który powiększył rodzinę, zabrał mu większość dawniejszych, bardzo często otrzymywanych pieszczot. Może dotknęło to psa najwięcej w jego poczuciu przynależności do rodziny, że zabroniono mu wstępu do sypialni małżeństwa, choć przedtem zawsze chętnie go tam widziano. Położono jego legowisko przed drzwiami izby, nie sądząc, by pies przyjął to tragicznie. Nikt nie zwrócił też na to uwagi, że zwierzę teraz częściej zostawało w domu, gdy gospodarz szedł w pole. Pewnego ranka, gdy wszystko wyruszyło do roboty, a gospodyni poszła załatwić jakieś pilne sprawunki, pozostał w domu tylko pies i piastunka. Dziewczyna oddaliła się na chwilę od dziecka. Wtedy pies wbiegł do sypialni, wskoczył na krzesło obok łóżeczka dziecięcego, chwycił zębami powijak i zawlókł maleństwo na swoje legowisko pod drzwiami. Przestraszony noworodek narobił krzyku i zwabił tem dziewczynę, która zmieszana chciała go zabrać i przenieść w bezpieczne miejsce. Ale pies nie chciał oddać swojej zdobyczy, nie reagując ani na groźby, ani na prośby. Skoro ktoś tylko chciał zbliżyć się do dziecka, niebezpieczny stróż wystawiał zęby i warczał groźnie. Także przerażonej matce nie udało się psa ułagodzić. Dopiero, gdy przywołany z pola przez zrozpaczonych domowników gospodarz łagodnie przemówił do niego i wśród pieszczot wytknął mu, że jego uczynek nie jest piękny, ale „fuj", zwierzę dłużej się nie opierało. Dziecko nie odniosło najlżejszych obrażeń i znalazło się po troskliwem obejrzeniu przez rodziców znowu w swojem łóżeczku. Gdy młodzi małżonkowie po chwili obejrzeli się za sprawcą kłopotu, stwierdzili z największem zdumieniem, że zwierzę przyciągnęło swoje legowisko z pod drzwi pod łóżeczko dziecięce. Z tego miejsca nie ustąpiło już. Obserwowano je jeszcze przez kilka dni nieufnie, ale nie zauważono żadnych niepokojących objawów. Wobec tego gospodarze pozostawili go już na miejscu, które sobie wywalczył w ten niezwykły sposób.

Germanizacja Prus Wschodnich. Jak wiadomo, południową część Prus Wschodnich i Warmję zamieszkują w większości Polacy. Niemcom ogromnie się to nie podoba, więc robią, co mogą, aby kraj ten przybrał zupełnie wygląd niemiecki. W tym celu dopuszczają się nawet różnych barbarzyństw. Do takich należy usuwanie tam wszelkich zabytków, świadczących o polskości tego kraju. Ostatnio dopuścili się Niemcy takiego barbarzyństwa w Olsztynie. Były tam dwa polskie zabytki, a mianowicie figura Chrystusa, stojąca pośrodku rynku Remontemarkt, — z napisem „Idź za mną", oraz kapliczka przy ulicy Hohensteiner Haussee z napisem: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie". Niemcy postanowili obecnie obydwa te zabytki usunąć, aby nie raziły ich germańskich oczu.

Rozmyślne zaczadzenie gazem. Emil Kullman, fabrykant budapeszteński, popadłszy w wielkie trudności pieniężne, w przystępie rozpaczy postanowił odebrać sobie życie. By spełnić to bez rozgłosu i zwrócenia na to czyjejkolwiek uwagi, wybrał niecodzienny sposób samobójstwa. Gdy żona Kullmana na kilka dni wyjechała, a w domu pozostała tylko służąca i córka zamężna, zamknął się Kullman w swoim pokoju, usiadł w fotelu przed kominkiem opalanym gazem, długą rurę gumową do przeprowadzenia gazu owinął kilkakrotnie około szyji a koniec jej włożył do ust i odkręciwszy kurek wypuścił gaz. Równocześnie nałożył na głowę blaszane wiaderko, by zapobiec ulatnianiu się gazu i w ten sposób łatwiej go wchłaniać w płuca.



Gdy służąca weszła do pokoju, zastała Kullmana w nieruchomo siedzącej postaci bez duszy. Zabiegi i ratunek lekarzy na nic się nie zdały. Scenę tę przedstawia nasz obrazek.

Wybory w Jugosławji. W ubiegłą niedzielę odbyły się wybory do parlamentu jugosłowiańskiego. Wybory są tam jawne. Jak było do przewidzenia, partja rządowa odniosła tam zupełne zwycięstwo tak, że opozycji właściwie nie będzie.

Straszny czyn szaleńca. We wsi Kumarica w pobliżu Sofji w Bułgarji niejaki Zdrawko Ribarow, wypuszczony świeżo z więzienia, dostał nagłego ataku furji, w czasie którego zamordował dwóch włościan, trzeciego zaś ciężko zranił. Następnie szaleniec zabarykadował się w domu, gdzie zabił siekierą kobietę i starca i poranił kilkoro dzieci. Szaleńcowi udało się zbiec. Ogólna liczba ofiar Ribarowa dochodzi do dwunastu.

Rozjuszony byk w szkole. Mała hiszpańska osada Tamazares, znana z cenionej hodowli byków stała się onegdaj widownią sensacyjnego zdarzenia. Na dworzec kolejowy prowadzono byka przeznaczonego do walki w Toledo. W pewnym momencie ukazało się od strony przeciwnej jadące auto. Niezwykły widok oraz szum motoru tak zaskoczyły zwierzę, że zerwało się z łańcucha i jak szalone pognało prosto przed siebie. Za niem pędził dozorca, sławny niegdyś toreador, Antoni Duro, który nie tracąc przytomności, wpadł do stojącego przy drodze swego domu, złapał szpadę a puściwszy się pędem dogonił byka w chwili, gdy ten runął w otwierające się drzwi budynku szkoły żeńskiej. Dziewczęta z krzykiem rzuciły się w najodleglejszy kąt sali, osłaniane przez nauczyciela. Byk stanął zdziwiony zupełnie obcem otoczeniem i rozglądając się, ujrzał nagle dozorcę. Ku niemu skierował się ze łbem pochylonym, gotów do walki, lecz w dozorcy odżyły dawne wspomnienia. Opanował uwagę byka, dając możność dziewczętom i nauczycielowi wyjść z sali. Temu ostatniemu polecił drzwi mocno zasunąć, aby zwierzę nie mogło wydostać się na ulicę. Sam zaś, ciągle igrając z bykiem, dopadł otwartego okna i przesadził je zręcznym susem. Rozjuszone zwierzę było tym sposobem schwytane, a toreador uniknął konieczności zabicia cennego okazu.

Musi się rozwieść z żoną, aby się z nią ożenić. Pewien handlowiec w Paryżu ożenił się w roku 1912, a w dwa lata później poszedł na wojnę. Kiedy z niej powrócił, żona jego dostała obłąkania tak, że w 1920 roku musiał oddać ją do szpitala. Przez 7 lat odwiedzał ją co tydzień i dowiadywał się o jej zdrowie, lecz w 1927 roku lekarze oświadczyli mu, iż niema najmniejszej nadziei wyleczenia jej. Poznawszy miłą i dobrą dziewczynę, postanowił ożenić sie z nią i wszystko przygotował do małżeństwa, nie przypuszczając nawet, że sąd odmówi mu rozwodu z obłąkaną żoną. Nie otrzymawszy rozwodu, podrobił dokumenta i ożenił się. Oskarżony o dwużeństwo został jednak uwolniony. Lecz wyrok ten nie zmienił w niczem jego położenia. Pierwsza żona żyła, a więc drugie małżeństwo było nieważne. Wreszcie biedna obłąkana umarła, a wdowiec, opłakawszy jej zgon, postanowił teraz już zupełnie poprawnie poślubić swoją drugą żonę. Lecz teraz znalazła się inna przeszkoda: oto na metryce drugiej żony było zaznaczone, że wyszła już raz za mąż, a ponieważ mąż jej żyje, więc drugie małżeństwo było niedopuszczalne. Nie pomogły żadne tłomaczenia: prawo jest prawem i choćby ono było najgłupsze, trzeba się do niego stosować. Nieszczęśliwy mąż rwał sobie włosy z głowy, lecz nie wiedział, co robić. Był żonaty, a małżeństwo jego było nieważne. Chce poślubić swą żonę ponownie, aby małżeństwo było prawne, lecz nie może, bo żona jego wyszła już za mąż, jak to wyraźnie było napisane na metryce czarno na białem. Namyślił się wreszcie dobrze i złożył sprawę w ręce adwokata. Adwokat wniósł prośbę o rozwód owego nieszczęśliwca z własną jego żoną, aby się z nią mógł powtórnie ożenić.

Maleńkie dzieci mordercami. Na jednem z przedmieść Paryża rozegrała się straszliwa tragedja. Oto czworo maleńkich dzieci zabiło ojca-pijaka. Był on górnikiem i zawsze wracał do domu w nietrzeźwym stanie. Robił okropne awantury i bił żonę. Gdy ostatnio przyszedł do domu pijany, dzieci jego w wieku trzy, pięć, sześć i siedm lat chwyciły stojące na nakrytym stole szklanki i talerze i obrzuciły niemi ojca. Jeden z odłamków szklanki wbił się górnikowi do szyji i zranił go tak ciężko, że mężczyzna upadł na ziemię i zalał się krwią. Przewieziono go natychmiast do szpitala, nie odzyskał jednak przytomności, ale zmarł w strasznych męczarniach. Powodem śmierci owego górnika i powodem strasznej choć nieświadomej zbrodni maleńkich dzieci była oczywiście wódka.

Straszna tragedja rodzinna. W Paryżu popełniono straszną zbrodnię. Sprawca zbrodni 54 letni krawiec Karol Belot przebywał przez trzy lata w zakładzie dla obłąkanych, dopiero niedawno stamtąd go wypuszczono. W ostatnim czasie był Belot bez pracy i z tej

przyczyny większą część dnia przepędzał w szynku. Onegdaj wieczorem powrócił Belot w stanie podchmielonym do domu i rozpoczął kłótnię ze swą żoną. W czasie ostrej wymiany słów uniósł się tak dalece, że chciał ją czynnie znieważyć. Do tego jednak nie dopuścił jego syn, który ojca obezwładnił i zamknął w sąsiednim pokoju, aby się uspokoił. Wtedy stary Belot postanowił się zemścić na żonie i synu. Następnego dnia o wczesnej godzinie rannej, gdy cała rodzina była pogrążona w głębokim śnie, zastrzelił z bliskiej odległości najpierw śpiącego syna, a następnie zranił ciężko swą żonę, trafiając ją kulą rewolwerową w szczękę. Zaalarmowani sąsiedzi chcieli Belota ująć, on jednak wybiegł na ulicę, strzelając w prawo i lewo. W czasie swej ucieczki zranił jeszcze szofera przejeżdżającej obok dorożki.

Lepiej późno niż nigdy. W małem miateczku angielskiem wzięły ślub dwie pary nowożeńców, liczące razem 290 lat życia. Jeden z małżonków liczy 76, drugi 72 lata. Panny młode nie są o wiele młodsze: jedna ma 70, druga 72 lata. Obie młode pary otrzymały od króla i księcia Walji serdeczne depesze gratulacyjne. Przyczem jedna z kilkudziesięciu otrzymanych depesz zawierała krótkie, ale bardzo wymowne zdanie: „Lepiej późno niż nigdy". Podpisu brakło.

Zatruty pokarm bocianów. Bardzo lubianym przez wielu ptakiem jest bocian. Tak widok jego, gdy zatacza szerokie koła w powietrzu, jak i jego klekot sprawiają miłe wrażenie. To też z przykrością stwierdzić trzeba, że miłych tych ptaków coraz mniej powraca z ciepłych krajów. Jakiż tego powód. Oto powodem tego zatruta szarańcza. Od szeregu lat kraje południowe prowadzą bardzo energiczną walkę z tym owadem, który występuje w miljonowych rojach i staje się istną plagą całych olbrzymich obszarów, powodując zupełne zniszczenie zbiorów i głód ludności. Otóż jednym z głównych środków walki z szarańczą jest arszenik. Bociany zaś, żywiąc się zatrutemi owadami, same padają ofiarą trucizny i nie wracają już do swej północnej ojczyzny.

Odkopanie Sodomy i Gomory. Wielka ekspedycja naukowa, która 8 miesięcy pracowała nad odkopaniem miast, położonych w dolinie morza Martwego, zakończyła już swoje prace. Wyniki robót wykopaliskowych są nadzwyczajne. Według raportu kierownika wyprawy, udało się odnaleźć biblijne miasto Sodomę i Gomorę, położone na północ od morza Martwego, w odległości 5 km. od obecnego koryta Jordanu. Sodoma i Gomora, należały do typu miast bliźniaczych. Zajmowały obszar 20 hektarów. Ścisłe badania murów prowadzą do wniosku, że szczegóły, podane przez biblję, są zgodne z prawdą. Dachy domów i jezdnie Sodomy i Gomory pokrywa gruba warstwa popiołu, pozatem wszędzie widnieją ślady pożarów. Nie ulega wątpliwości, że miasta były zniszczone przez ogień, najprawdopodobniej wskutek wybuchu wulkanu. Jak wiadomo, biblja wzmiankuje o deszczu ognistym. Ekspedycja przywiozła do Kairu wazę glinianą, w której znaleziono doskonale zachowany szkielet 6-letniego dziecka. Kierownik wyprawy wysuwa z tego wniosek, iż mieszkańcy Sodomy i Gomory składali dzieci w ofierze jakiemuś bóstwu. Zbiory te otrzyma Muzeum Brytyjskie w Londynie.

Uliczne czytelnie w Chinach. W wielkich, nawpół zmodernizowanych miastach chińskich, jak Szanghaj, Tientsin lub Hankau, zauważyć można na ulicach nowy typ przedsiębiorstw, a mianowicie wędrowne czytelnie. Na wózku popychanym przez wędrownego przedsiębiorcę, leży stos książek. Książki te nie są do sprzedania, gdyż mimo ich taniości ci, którzy mają korzystać z nich, nie mogliby sobie pozwolić na kupno. Przedsiębiorca wypożycza natomiast książki za minimalną opłatą na przeciąg pół godziny. Kto chce czytać dłużej, musi iść za wózkiem. Wędrowny księgarz dla pozyskania sobie czytelników wywołuje głośno następującą pochwałę książek: „Czy nie lepiej wydać kilka groszy dla spędzenia pół godziny w towarzystwie eleganckich panów i wytwornych dam, niż wyrzucać kilkadziesiąt groszy na alkohol? Zbliż się i przeczytaj „Tajemnicę wonnej komnaty", a dowiesz się o wspaniałem życiu gentelmenów i dam, o ich zabawach i rozrywkach. Kilka groszy a przeniesiesz się w inny świat!

Ludność Chin zmniejsza się. Ze statystyki, ogłoszonej przez rząd chiński, wynika, że Chiny liczą obecnie 470 miljonów mieszkańców. Ponieważ jeszcze w 1926 roku liczyły one 485 miljonów, wynika z tego, że w przeciągu 5 lat liczba ludności w Chinach zmniejszyła się o 15 miljonów. Zmniejszenie się liczby ludności w Chinach przypisywane jest ciągłem wojnom domowem i klęskom głodu, które nawiedziły ten kraj w ciągu ostatnich lat.

Ptaki śmierci. Jeden z oficerów holenderskich wojsk kolonjalnych, który powrócił niedawno z Nowej Gwinei, opowiada o strasznym wypadku, jaki się zdarzył na rzece w pobliżu Tagoty. Tubylcy, którzy łowili ryby, napadnięci zostali przez stado ptaków, zwanych „ptakami śmierci". Trzem rybakom udało się zbiec, pięciu zaś pozostałych podziobały zgłodniałe ptaki. Nieszczęśliwi stracili wzrok i po kilku godzinach zmarli w strasznych męczarniach. Wojska kolonjalne urządziły polowanie na te ptaki i zastrzeliły kilka. Nowa Gwinea jest jedynem miejscem na kuli ziemskiej, gdzie trafiają się te ptaki trujące. „Ptaki śmierci" nie przewyższające rozmiarami gołębi, źle latają. Okoliczność ta ułatwia polowanie na nie. Po złapaniu takiego ptaka tubylcy natychmiast go zabijają. „Ptaki śmierci" żyją w zupełnem odosobnieniu od innych zwierząt i ptaków i chowają się zwykle wśród skał. Ludzie, podziobani przez te ptaki, odczuwają odrazu ostry ból i tracą wzrok, poczem umierają w ciągu dwóch godzin w niesłychanych mękach. Dotychczas nie udało się uratować ani jednego człowieka, podziobanego przez ptaka trującego, nawet wtedy, gdy odcięto zatrutą część ciała.

Ksiądz w walce z bandytyzmem. W tym okręgu Chicago, w którym stoi kościół św. Karola Boromeusza, widać od niedawna prawie co nocy w knajpach i szynkach świata podziemnego dziwnego gościa. Oto zachodzi tam szerokobary olbrzym w szatach duchownego, z płomiennie czerwonemi włosami i z potężnemi pięściami, którym może nie mniej ufać, niż swojej broni duchowej. Jest to, jak donosi prasa miejscowa, ksiądz irlandzki, Mattew Canning; będąc pewnego razu świadkiem napadu bandyckiego, w którym 19-letni młodzieniec utracił życie, podjął oryginalną walkę z bandytyzmem. Przystępuje odważnie do wyrzutków społeczeństwa i patrząc im mocno w oczy, mówi:

— Chcesz zostać dalej łotrem, czy pójdziesz ze mną?

Podobno już niejeden drab usłuchał tego apelu do lepszych porywów jego człowieczeństwa, a nawet raz całe towarzystwo miało się spokojnie rozejść, a melina zaś conajmniej na tę noc zamknęła swoje drzwi — bez protestu gości i gospodarza. Ks. Canning wie naturalnie, jak niepewnem jest takie zwycięstwo i zdaje sobie sprawę, że bandyci gotowi wreszcie zwrócić przeciw niemu inną broń, niż ta, którą on walczy. Ale przysiągł sobie, że oczyści własną parafję z bandytów i dotrzyma tego, choćby miał za to zapłacić nawet własnem życiem. Szlachetny ten duchowny zyskał powszechną sympatję mieszkańców Chicago. Ale czy znajdzie naśladowców?

RZECZY CIEKAWE.

Plaga szarańczy.

Szarańcza jest owadem, należącym do szarańczaków, a jest podobna do naszego pasikonika, tylko nóżki ma nieco krótsze. Żyje w Afryce i Azji. W braku pokarmu łączy się nieraz w nieprzeliczone gromady, leci daleko tak, jak gęsta chmura i czasami nawiedza odległe okolice, robiąc straszne spustoszenia. Bo gdzie taka gromada padnie, tam i źdźbła trawy nie zostanie. Samice składają podczas tego jaja do ziemi i razem odlatują wszystkie dalej. Na



drugi rok wylęgłe młode bezskrzydłe, puszczają się pieszo, szerząc spustoszenie, dopóki im skrzydła nie urosną.

Przeciw pieszym gromadom zabezpieczają pola, kopiąc głębokie rowy i napuszczając je wodą. Setki tysięcy tych owadów wpada wówczas do wody, topiąc się w niej, ale często dalsze szeregi przechodzą już po ich trupach i zalewają następne pola. Skrzydlate roje szarańczy są nieraz tak liczne, że potrafią sobą zaćmić zupełnie słońce. Chmury szarańczy wyglądają jakby jaka zadymka śnieżna, a poszczególne ich gromady wciskają się nawet do domów i kościołów. Miejsca, któremi przejdą, wyglądają spustoszone, jak po Tatarach. Mieszkańcy okolic, nawiedzonych szarańczą, walczą z nią, jak mogą, zatruwając przedewszystkiem trawy, na których roje szarańczy osiadają. Owady, pożerając zatrutą trawę, miljonami padają nieżywe. Ale mieszkańcy muszą potem oczyszczać prędko pola, aby trupy owadu nie zatruwały powietrza.

Na obrazku naszym widzimy pola nad Nilem w Afryce, obsiędzione gęsto przez szarańczę.

Pocałunki do góry nogami.

W pobliżu Cork, w Irlandji, znajdują się górujące nad okolicą ruiny zamku Blarney, otoczone ogólną czcią mieszkańców. Na jednej ze ścian zewnętrznych tej wieży, na wysokości około 35 m., jest wmurowany kamień, zwany w całej Anglji pod nazwą „Kamienia z Blarney". Prastare podanie irlandzkie głosi, że kto na tym kamieniu złoży pocałunek, bywa obdarzony cennym darem krasomówstwa. Lecz dostać się do niego, to sztuka nielada, wymagająca zręczności akrobaty lub artysty filmowego, kamień bowiem jest umieszczony 2 metry niżej platformy, a dotknąć go wolno jedynie ustami. Kandydaci więc na krasomówców przywiązują się liną za nogi i spuszczają głową na dół.

Pomimo tak ryzykownej próby, amatorów nie brakło. Złośliwi twierdzą, że wielu angielskich mężów stanu odbyło wędrówkę do Blarney... Jeden zaś podobno, nie trzymany dość silnie przez towarzyszów, o mało życiem nie przypłacił daru wymowy.

Oświadczyny u Chińczyków.

Chińczycy, jako naród konserwatywny, posiadają do dziś dnia, pomimo swej pozornej cywilizacji europejskiej, wielką ilość zabobonów i obyczajów, związanych z każdym ważniejszym momentem życia. Jednym z takich obyczajów jest powszechnie tam przyjęty sposób manifestowania wybrance swego serca uczuć miłosnych. W tym celu młodzieniec, pragnący się oświadczyć pannie, posyła jej dar symboliczny: cztery szpileczki, związane na krzyż jedwabną nitką.

Jeśli uczucie jego jest odwzajemnione, wówczas panna zwraca mu owe szpileczki nietknięte. Jeśli jednak nitka, przewiązująca szpilki, jest zerwana, oznacza to wtedy, że małżeństwo nie dojdzie do skutku.

Początek temu obyczajowi dała stara legenda chińska, według której każdy człowiek w chwili urodzenia zostaje związany niewidzialną nicią z osobą, która jest mu przeznaczona na dozgonną towarzyszkę życia. Jednak mało jest ludzi, którzy tę nić potrafią zachować nietkniętą i umieją odnaleźć przeznaczoną dla siebie istotę. Większość błąkając się po ścieżkach i manowcach życia, zrywa wątłą nić i nigdy już potem nie odnajduje śladu tej, „w której dłoniach spoczywało szczęście". I dlatego też tak mało jest na świecie dobranych i szczęśliwych małżeństw!

Święty Boże.

Któż z nas nie zna tej pięknej, a tak poważnej pieśni. W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy, wyrywa się z piersi ludzkości taki straszny okrzyk błagania, prośby, rozpaczy, obłędu.

Kiedy po rok tysiączny wiła się ziemia w konwulsjach, trzęsła się (w roku 1000 oczekiwano końca świata), wojska Ottona I. ciągnące do Włoch, widziały słońce czerwone jak szkarłat, a słońce dogorywać się zdawało. Kiedy spiekła ogniem, spragniona ziemia nic już rodzić nie mogła, a ludzie, według opowiadań kronikarzy, sami siebie pożerali; kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozłuniła krwawą pożogą, wtedy powstało „Dies irae" („Dzień gniewu Bożego").

A kiedy u nas Szwedzi wyniszczyli mordem i pożogą wsie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniła do reszty spustoszoną glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny".

Pieśń ta — to polskie nasze „Dies irae".

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu. — Kiedy ksiądz obróci się z monstrancją ku ludowi, a organy huczą jednem przeciągłem a odległem dudnieniem, wtedy następuje chwila, która zimnym dreszczem ciało przebiega.

Lud na kolana powalony oczekuje czegoś, co jakby nieszczęście zawisło w powietrzu, coraz to ni-

żej się stacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraz intonuje ksiądz „Święty Boże, Święty Mocny“, jękiem bólu i cierpienia odpowiada naród. Święty a Nieśmiertelny, wybaw nas Panie“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli“ otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Serce“, „Na drodze życia“, „Ofiara miłości“, „Jak uczyć się na pamięć“, „Legenda o choince“, „O Filipku, o małpkach i o żabce“, „Głód“, „Dlaczego djabeł ma krótkie nogi“, „Guślarskie leki“, „Zemsta“, „Talent“, „Kolonka“, „Skarb na wzgórzu“. Ocenę powyższych prac podamy wraz z innymi po upływie terminu konkursu. — **Józef Sikora** w P.: Odpowiedź w 45 numerze „Roli“, z powodu przestawienia wierszy przez pomyłkę, była nieco z niekształcona. Odpowiadamy więc ponownie, dlaczego wiersza „Przygody Stasia“ nie możemy wydrukować. A więc po pierwsze dlatego, że jest on stanowczo dla „Roli“ zadługi. Po drugie wiersz ten, posiadając wiele ciekawych momentów, w całości jest zagmatwany tak, że nie wiemy, jaka jest jego zasadnicza myśl. Znać w nim talent, ale to jeszcze nie wystarcza, trzeba całość starannie opracować. Najlepiej zaczynać od krótkich wierszyków, to takie prędzejby mogły ukazać się w druku. — **Karol Chwaliński** w D.: W numerze 49 „Roli“ rozpoczniemy druk dłuższej, specjalnie dla „Roli“ napisanej powieści historycznej p. t. „Stłumione echa“, pióra p. Marji Waller, której utwory krótsze już niejednokrotnie zamieszczaliśmy. Jest to rzecz napisana nadzwyczaj zajmująco, pięknym stylem tak, że utrzymuje uwagę czytelnika od początku do końca. Od Nowego Roku rozpoczniemy druk sensacyjnej powieści, z licznymi obrazkami p. Franciszka Hornika p. t. „Dziwy życia“, którego legendę zamieszczamy dziś na stronie 2 „Roli“. Jest to niesamowita opowieść, zaciekawiająca czytelnika coraz więcej z każdym rozdziałem. Splot nieprawdopodobnych wprost zdarzeń wiąże się w barwną całość, dążąc do niespodziewanego rozwiązania. Będzie to rzecz dłuższa, która niewątpliwie zainteresuje wszystkich bez wyjątku czytelników. — **Marja Byczkówna** w K.: Wierszyki w miarę miejsca wydrukujemy. — **Maryśka z Kamionki:** Dlaczego nic nie piszesz do „Roli“, Marysiu. Byłem w zeszłym tygodniu w tamtych stronach na ślubie siostrzeńca. Rozmawiałem ze znajomymi dużo o Tobie i wiem o Twoim smutnym losie. Serdecznie współczuję. Odezwij się i pisz, a praca literacka pozwoli Ci zapomnieć, choć nieco o Twoich niedomaganiach. — **Józef Sroga** w K.: O ile względy techniczne pozwolą, wierszyk Pański zamieścimy w przyszłym numerze „Roli“. — **Karolina Nawrocka** w L.: Właściwie pasiecznictwem powinny się zajmować przedewszystkiem kobiety, gdyż te pozostają więcej w domu, więc też prędzej znajdą jakąś wolną chwilę, aby na pszczółki popatrzyć. Ukłucia pszczoły bolą tylko początkowo, gdy się człowiek do nich przyzwyczai, nie są dotkliwsze od uszczypnięcia muchy. Jad pszczeli jest doskonałem lekarstwem na wiele chorób, a przedewszystkiem na reumatyzm i artretyzm. Już wiele osób zostało nim uleczonych. — **Klemens Wichura** w F.: „Rola“ ze względu na swą objętość i treść jest najtańszem pismem ludowem. Kiedy inne gazetki, obejmujące ośm stronic druku, kosztują rocznie 10 złotych, to „Rola“ objętości 20 stron druku kosztuje tylko 12 złotych rocznie. W innych gazetkach, tak zwanych politycznych, są albo ujadania na bliźnich, albo pochwały zasłużone lub niezasłużone dla swoich najbliższych, a pozatem nic ciekawego do czytania niema, podczas gdy „Rola“ daje taką masę różnych utworów, że każdy znajdzie w niej coś ciekawego dla siebie. — **Wł. Piotrowski** w Danji: Prenumeratę otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Jan Świerk** z J.: Czas obecny bardzo nadaje się do jednania nowych prenumeratorów dla „Roli“. A nie jest to trudne zadanie, gdyż i najwybredniejszy, w „Roli“ musi dla siebie coś przyciągającego znaleźć. W pierwszym numerze grudniowym rozpoczynamy świeżą dłuższą i bardzo zajmującą powieść. Drugą też bardzo zajmującą, sensacyjną powieść dłuższą zaczniemy w pierwszym numerze styczniowym. Obie powieści nigdzie nie drukowane, specjalnie dla „Roli“ napisane. Za zjednanego prenumeratora dziękujemy i prosimy nadal o pamięć. — **Sobala Rudolf** w Ch.: Każdą straconą przesyłkę poczta obowiązana jest wynagrodzić, bo nie Pańską winą było, że do agencji pocztowej w Drogomyślu włamali się złodzieje i między innemi skradli Pańską „Rolę“. Ale chodzenie, spisywanie protokołu, czekanie dla 30 groszy, bo tyle numer „Roli“ kosztuje, chyba się nie opłaca. Adres zmieniony, skradziony numer posłaliśmy. — **Jan Burek** w G.: Cieszy nas, że tak szczęśliwie Pan tam „Rolę“ zaszczepił. Serdecznie za przysługę dziękujemy i polecamy się nadal.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Szabla.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Służy do gry.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Państwo w Europie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Zwierzę domowe.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Gałąź
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto na Litwie wstecz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Napój alkoholowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kielich.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Państwo w Azji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Scena
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Państwo w Europie wstecz
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Egipcie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Myśliwy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie wstecz.

Rząd oznaczony czarnymi kwadracikami, czytany z góry na dół da nam imię i nazwisko powieściopisarki polskiej z XIX wieku

2. Zagadka.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Niech mi dzisiaj każdy powie,
Jak się ono imię zowie,
Poeta i ryba w jednem słowie.

3. Szarady.

I.

(Ułożyła A. Barnasiówna .

Pierwsze wspak cel wycieczek w lecie,
Drugie znajdziesz w alfabecie,
Trzecie wspak masz na twarzy,
Całość kupisz u masarzy.

II.

(Ułożył K. Drzewicki)

Pierwsze zwierzęta pewnie posiadają,
Drugie trzecie w zabawie ochoty dodają.
Całość jadają — jak to mam powiedzieć —
A zresztą zgadnijcie, jeśli chcecie wiedzieć.

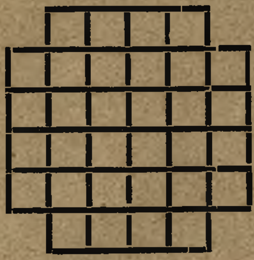
III.

(Ułożył F. Zydroń).

Pierwsza pół drugiej, po wodach pływa,
Druga pół trzeciej na twarzy bywa;
Z pierwszej i trzeciej miasto powstanie,
Czwarta oznaczy pokwitowanie!
Cały, wzrok śmiałka sztuczka napawa,
Wszyscy bijemy mu wkońcu brawa

4. Krzyż magiczny.

(Ułożył Józef Górecki z K.).



Imię męsk. wspak
Drzewo.
Pisarz szwedzki.
Imię żeńskie.

Wyrazy czytane poziomo i pionowo są jednakowe.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 27 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 45 „Roli“: 1. Logogryf: Ignacy Paderewski. 2. Szarada: Starosta. 3. Kalambury: Kornel. 4. Zagadki z zapałek: I. POST. II. CELTA. 5. Krzyż magiczny: Mazepa-Helena-czekan-Kanada.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłał tylko p. Józef Górecki z K. i on otrzymał nagrodę.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Chłopski rozum.

Adwokat: Jakto, już na wiosnę mieliście zatargi z sąsiadem, a dopiero teraz go zbiliście?

Chłopek: Bo to, proszę pana, u nas gospodarzy zimą więcej czasu do odsiadywania kary.

Kapral i rekrut.

Kapral: Po czem rozróżnia się kaprala od oficera? — pyta się kapral rekruta.

Rekrut: Skądżebym to ja mógł wiedzieć.

Kapral: Ty durniu, nie rozróżnisz nawet, jak widzę, osła od wołu.

Mądra wróżka.

— Znasz tę damę?

— O tak. To wróżka.

— Co ona robi?

— Ona wróży głupio z ręki, a wyciąga mądrze z kieszeni.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 listopada b. r.

Pszenica	26·00—26·50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	25·50—26·00	Ziemniaki stoł.	4·75—5·00
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	27·00—28·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	41·00—41·50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Mąka pszen.	45·00—46·00
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	15·50—16·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	16·00—16·50
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 17 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałowniki	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·70 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·54 do 0·58 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·25 do 1·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·50 do 1·75